

Święto włóknarzy Białostoczczyzny

Przemysł włókienniczy nierozdzielnie związany jest z Białostoczczyzną od dziesięcioleci. To on był miastotwórczym czynnikiem rozwoju w końcu ubiegłego stulecia i w latach międzywojennych, od pierwszych też metrów „ukrainki” podjęły działalność lokalne zakłady.

W dniu wczorajszym — 25 bm., z racji obchodzonego w tym roku już po raz siedemnasty „Dnia Włóknarza”, aktywnie społeczno-gospodarczy tej branży przyjęli gospodarze województwa: I sekretarz KW PZPR — WŁADYSŁAW JUSZ-KIEWICZ oraz wojewoda — ZYGMUNT SPRYCHA. W spotkaniu uczestniczyli także sekretarz KW PZPR — STANISŁAW ZIELIŃSKI.

Przemysł włókienniczy, skórzany i odzieżowy zatrudniają w województwie ponad 15 tys. osób, tj. ponad 22 proc. ogółu w gospodarce społecznej. W roku ubiegłym, wyjątkowo trudnym i złożonym nie wykonano co prawda zadań w całości, ale na rynek województwa i kraju dostarczono wyrobów wartości blisko 9 miliardów 160

mln zł. Oznacza to, iż co piąta złotówka z produkcji przemysłowej pochodziła właśnie z tego sektora. M. in. białostockie zakłady i fabryki wytworzyły ponad 71 mln m tkanin bawełnianych, wełnianych i futerkowych, 278,3 mln m pasmanterii, 12 mln szt. wyrobów dziewiarskich oraz około 1,5 mln par obuwia,

która coraz wyżej ceniona jest w kraju i za granicą. Niezależnie od tych osiągnięć załogi uczestniczyły w realizacji Czynu 35-lecia PRL, który, podjęty we wszystkich jednostkach, przyniósł dodatkowe wartości, oceniane na ponad 46 mln zł. Jednocześnie na rzecz swoich zakładów i środowiska przepracowano 75,5 tys. roboczogodzin.

Realizacja zadań I kw. br. napawa optymizmem. Zakłady, gdzie obrabowywały już sesje KSR meldują o rytmicznym wykonywaniu zadań, do czego m. in. przyczynia się lepsza organizacja pracy, gospodarskie dysponowanie materiałami i surowcami oraz energia.

ciąg dalszy na str. 2

BYLI POLAKAMI...

Do wykopanego uprzednio dołu podchodzili czwórkami. W pierwszej był „Ziomek” — kapitan Stanisław Bielicki. Razem z nim szedł ojciec sześciorgo dzieci, ślusarz Jan Wiśniewski. Gruchnęła salwa... W drugiej czwórce szły „Oleńka” — Aleksandra Kujatowicz i popularna w środowisku suwalskim nauczycielka — Maria Smolarek. W tym dniu, w leśnej mogile spoczęli także: Antoni Trochim, Józef Korejwo, Władysław Januszewski, Zdzisław Mroczek, Wacław Mroczek, Włodzimierz Młynarski, Piotr Niewiara, Aleksander Murawski, Włodzimierz Pilecki.

Działo się to 26 kwietnia 1940 roku po południu, w Lesie Szwajcarskim koło Suwałk. Mogiła, tuż po egzekucji, dokładnie ukryto. Już wtedy panowie świata, choć ferowali wyroki w „majestacie” — swego — prawa, skrzętnie ukrywali ślady zbrodni.

Tak zakończyła się działalność przywódców pierwszej, powstałej już w październiku 1939 roku, grupy ruchu oporu na Suwalszczyźnie. Ale ruch oporu, o czym wkrótce przyszło się przekonać okupantom, nie dał się stłumić krwią pierwszych, którzy padli w tej walce.

Krótką, tragiczną i bohaterką zarazem, była historia wojenna tych ludzi, którzy do jej kart przeszli jako pierwsza zorganizowana i świadoma swego celu grupa ruchu oporu na Suwalszczyźnie. Krótka, bo...

ciąg dalszy na str. 3



Posłanie prezydenta Francji do I sekretarza KC PZPR

WARSZAWA — Prezydent Francji Valéry Giscard d'Estaing skierował posłanie do I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka.

W związku z tym w dniu 25 bm. I sekretarz KC przyjął specjalnego wysłannika prezydenta Francji, Michała Poniatowskiego. Michał Poniatowski został także przyjęty przez prezydenta Rady Ministrów, Mieczysława Jagielskiego oraz ministra Spraw Zagranicznych Emila Wojtaszczyka.

W trakcie spotkań omówiono aktualne tendencje w rozwoju sytuacji międzynarodowej, a także niektóre zagadnienia stosunków dwustronnych, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej.

Depesza Romesha Chandry do Henryka Jabłońskiego

HELSINKI — Przewodniczący Suwalskiej Rady Pokoju, Romesh Chandra przesłał na ręce przewodniczącego Rady Państwa, prof. Henryka Jabłońskiego depeszę, w której w imieniu Suwalskiej Rady Pokoju i reprezentowanych w niej organizacji krajowych i ponad 13 państw wyraża pełne poparcie dla idei zawarcia w promieniu 1000 km od granic państwa walecznego antykomunistycznego w miejscu byłego hitlerowskiego obozu śmierci w Oświęcimiu. Depesza, jak również dla idei zawarcia w promieniu 1000 km od granic państwa walecznego antykomunistycznego w miejscu byłego hitlerowskiego obozu śmierci w Oświęcimiu.

„Progress-8” odłączył się od zespołu orbitalnego

MOSKWA — Jak podała Agencja TASS z ośrodka kierowania lotem, 25 bm. o godz. 11.04 czasu moskiewskiego, po zakończeniu programu wspólnego lotu, automatyczny statek transportowy „Progress-8” został odłączony od zespołu orbitalnego „Salut-6” — „Soyuz-38”.



O kapeli z Nowogrodu, którą założył w roku 1929 Adam Chętnik — piszemy na str. 6.



Fragmenty pracy nr 458.

Autorem jej jest inżynier-mechanik.

Sobiepanek

-pozorant

Moja matka była człowiekiem prostym. Jak praca, którą wykonywała w domu i w moim zakładzie codziennie. Dla nas trojga, gdyż ojciec zginął na wojnie. Nasz kraj otrzymał w spadku po okupancie całe zastępy takich matek-bohatek. Ilekroć całuję dionie matki, dzielne i najpiękniejsze, wiem, że nauczy mnie pracować i kochać. I jestem z tego dumny. Szesnaście lat temu wracając do domu ze świadectwem dojrzałości. Zastanawiałem się jak mam podziękować matce, która wydawała ostatnie grosze na lektury i podręczniki. Dwa lata temu spieszyłem z dyplomem inżyniera. I znów to samo uczucie, podobne do tego, gdy na odświeżonym placu w Głęboku, jako żołnierz, z prawą ręką uniesioną do góry, ślubowałem wierność mojej drugiej matce — Ojczyźnie.

Moimi pierwszymi przełożonymi byli wspaniali ludzie, żołnierze Września i uczestnicy walki z okupantem. Oni nauczyli mnie prostoty myślenia, określania co dobre a co złe. Mimo, że wtedy byłem zupełnie „zielony” jako pracownik, traktowali mnie poważnie, bez taryfy ulgowej. Przekonałem się już wtedy, że kraj nasz posiada wspaniałą, ideową młodzież, zdolną do samokrytyki, ofiarną, przygotowaną do ambitnych wysiłków. Od 1965 roku przez siedem lat byłem konstruktorem. Doświadczenia nabyte w tamtych latach procentują do dnia dzisiejszego. Po reorganizacji zakładu, przełożeni odeszli do innej pracy. Ja również wybrałem

inne przedsiębiorstwo. Awansowałem poza wszelką kolejność. Byłem wszem dla otczenia i przykładem dobrej roboty. Jako 30-latek kierowałem różnymi zespołami ludzkimi. Wplotłem w wysiłek ludzki nowe elementy. A ludzie to byli wyjątkowo wymagający. Umiałem jednak nie tylko żądać, ale również dawać. Od matki wiedziałem, że nie wolno zapomnieć o człowieku, który stoi 8 godzin przy maszynie, pewny swego bezpieczeństwa, mający zaufanie do przełożonego, chcący wierzyć w sens tego co robi.

Klucze od nowego, samodzielnego mieszkania przyszły w rok po urodzinach drugiej córki. Zaczęłam wspinać się po szczeblach zakładowej hierarchii. Ciągłe jes-

cze wszystko było pierwsze. Współdziałal w pracy rady zakładowej, opieka nad kołem ZMS, wstąpienie w szeregi PZPR, praca w różnych komisjach, sekcjach.

Zdecydowałem się również na studia zaoczne. Współpraca z dyrektorem układała się pomyślnie, cieszyłem się uznaniem i byłem stawiany za wzór. Naczelny dyrektor mawiał, że mam wielkie szanse. Moje studia zbieżne się do końca — na moje szczęście i nieszczeście, bo oto naczelny, trudno wiedzieć czemu, poczuł niechęć do mnie. Przy każdej okazji starał się mnie ośmieszyć, wystawić pod pręgierz. Z przyjaciela, bo takie było jego podejście na początku, zmienił się radykalnie.

Po ukończeniu studiów z wynikiem dobrym, zwróciłem się z prośbą o nagrodę obywatelską. Minęły trzy miesiące bez echa. Ponowilem swoją prośbę. Kiedy przydzieliłem dyplom i indeks, już z oczu kierownika Działu Kadry czytałem, że zalicza mnie do nainnych. O zopiniowanie mojej sprawy prosiłem radcę prawnego w związkach zawodowych. Ponieważ z treści tej opinii wynikało, że na dwójce babcia wróżyła, machnąłem na wszystko ręką. Złożyłem wypowiedzenie i odszedłem.

Sporo jednak rzeczy się nauczyłem. Tu ukończyłem studia zaoczne, tu zostawiłem część swoich umiejętności, zaangażowania, pracy nad sobą. Wstąpiłem w ten nurt, w nim znalazłem swoje miejsce, w nim czułem się potrzebny. Potrzeba mi było 7 lat, by pojąć, że to co powszechnie było akceptowane jest złe, że wystarczy mieć rację, by narazić się prze-

ciąg dalszy na str. 4



Rozmowa

z Ryszardem Kapuścińskim



Fot. Erazm Ciolek

ANDRZEJ W. PAWŁUCZUK: Powrócił pan niedawno z Iranu, gdzie pełnił pan trudne obowiązki korespondenta. Czy był to pana pierwszy pobyt w tym kraju?

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI: Od czasu obalenia monarchii byłem w Iranie dwukrotnie. Najpierw pojechałem tam na początku 1979 r., a wróciłem w kwietniu. Plonem tego wyjazdu były korespondencje agencyjne oraz tekst, który drukowałem w „Kulturze” pt. „Katharsis”. Poraz drugi

budowy, elektryfikacji i tym podobnych rzeczy. Tymczasem w Iranie mamy wciąż do czynienia z tywym procesem historycznym. Tam wszystko jest w ciągłym ruchu, zmienia się, nie stoi w miejscu.

— Toteż wolałby pan zapewne zająć się pisaniem tej książki o sytuacji w Iranie wrócić do równowagi? — Oczywiście. I dlatego, że tam tyle się dzieje, jako korespondent PAP miałem bardzo wiele pracy. Mało więc zebrałem materiału reportażowego i moja książ-

— Południe, Trzeci Świat. Do niedawna były to biedne kraje spychane na margines przez kraje zachodnie. Nikt się z nimi specjalnie nie liczył i nie brał ich pod uwagę. Równowaga, która zapanowała po wojnie, utrwaliła się na długo i przez wiele lat świat cieszył się względnym spokojem. Przyzwyczajali się do tej stabilizacji i nie brał pod uwagę, że należy znowu miejsce dla kogoś nowego. Dlatego dzisiaj powoduje to napiecie i konflikty. Na arenę świata wchodzi nowa cywil-

wiek, kiedy Arabowie wdarli się na Półwysep Iberyjski, aż po wiek XIX, kiedy Turcja rezygnowała ostatecznie z pretensji do Europy, uważaliśmy, że Islam stanowi zagrożenie dla naszej kultury. A w wieku XIX zaczęła się ekspansja chrześcijańskiej Francji w Afryce północnej, a więc Afryce muzułmańskiej i konflikt chrześcijaństwa z islamem trwał nadal. Tak więc przeszło tysiąc lat naszej europejskiej historii toczyło się pod znakiem konfliktu dwóch przeciwnych sobie ideologii.

— Ale Iran jest i był zawsze daleko od Europy... To prawda. Ale Europa ze swoją cywilizacją, a właściwie Ameryką, chciała się tam na trwałe usadowić.

— I to było przyczyną rewolucji?

— Tak. Jest to rewolucja przeciwko obcej dominacji.

— Dominacji politycznej?

— Nie tylko. Aby do zrozumienia, trzeba znać historię Iranu, tutaj, z konieczności muszę operować skrótami. A więc, po pierwsze, islam irański jest islamem szyickim. Co to jest szyizm? Jest to niewielkie odgałęzienie islamu, będące religią przede wszystkim ubogich. W tradycji szyizmu uznaje się tylko władzę duchownych, czyli imamów. Toteż religia ta była zawsze opozycyjna wobec władzy i traktowała szachów jako uzurpatorów. Oczywiście należało się z władzą godzić, tolerować ją, ale tylko na tyle, na ile zaspokajała potrzeby ludu.

Po wtóre, Iran był i pozostał krajem drobnego rolnictwa, drobnego handlu i drobnego rzemiosła. Odkrycie ropy spowodowało napływ do Iranu ogromnych pieniędzy, a w oparciu o te pieniądze szach chciał w kraju zbudować pseudo-Europę, nie licząc się zupełnie z tradycją, historią i religią.

— Czyli chciał unowocześnić zacofane państwo...

— To nam się tak wydaje, ponieważ uważamy,

ciąg dalszy na str. 5

Zrozumieć świat

wyjechałem jesienią ubiegłego roku, a wróciłem przed parą tygodniami.

— Czy możemy teraz oczekiwać książki o Iranie?

— Chcę napisać taką książkę, choć pisanie książki o Iranie to problem walki z tysiącami stereotypów, zafalszowań, utartych pojęć.

— Jednym z takich stereotypów jest przekonanie, że Iran coraz bardziej pograża się w anarchię.

— Panuje u nas mniemanie, że rewolucja polega na gwałtownej zmianie systemu politycznego, a nazajutrz po rewolucji cały naród jednoczy się wokół nowej władzy i z zapałem przystępuje do od-

żka zawierać będzie raczej refleksje o tym, co dzieje się niejako na marginesie tamtejszych przemian politycznych. Będzie to więc coś w rodzaju osobistego notatnika z podróży po Iranie.

— Wróćmy do sprawy rewolucji irańskiej. Nie dla wszystkich jest jasne, dlaczego budzi ona tyle zainteresowania w całym świecie.

— Ponieważ całego świata dotyczy. Problem z Iranem nie ogranicza się do jednego państwa. W świecie powstaje zupełnie nowy układ sił, i te nowe siły rozstrząsają ustabilizowany świat, domagając się miejsca i uznania.

— Co i kogo należy rozumieć przez te „nowe siły”?

— Ilizacja, która domaga się równouprawnienia. Natrafia ona jednak na naturalny sprzeciw tych, którzy dominowali nad światem do tej pory.

— Pojęcie „Trzeciego Świata” jest bardzo ogólne...

— Tę forpocztą Południa stał się m. in. islam, kraje muzułmańskie.

— Czy fakt, że są to akurat kraje muzułmańskie ma jakieś szczególne znaczenie?

— Przez wiele lat, a trzeba mówić o stuleciach, świat zdominowany był przez Europę i Amerykę. A Europa to cywilizacja, która wyrosła z chrześcijaństwa i przez długie wieki uważała się sama za chrześcijańską. Od VIII

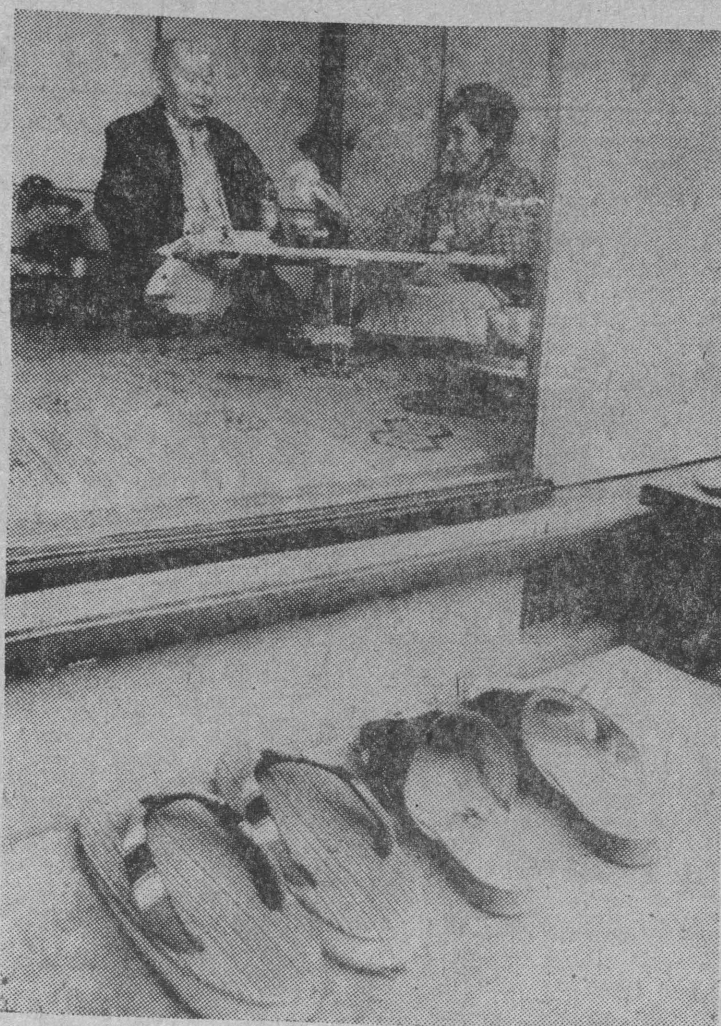
kultury, odrębnych sposobów patrzenia na świat i człowieka. Pamiętać należy przy tym, że islam wyparł chrześcijaństwo ze znacznych obszarów Afryki i Azji, a więc uważany był za siłę, która zdolna jest nas zniszczyć. Toteż Europejczycy do tej pory odczuwali przed islamem lęk. Ten lęk tkwi głęboko w jego podświadomości, ukryty jest w zakamarkach jego duszy, ale w momentach konfliktu wychodzi na jaw i staje się poważną siłą. Te dawne konflikty pozostały po sobie sporne obszary kulturowe, do których jedni i drudzy roszczą pretensje, dlatego pogranicze chrześcijańsko - islamskie jest do dzisiaj punktem zadrażnień i sporów.

1	W najbliższą sobotę i niedzielę	1	Baranowo
2	w klubie Jagielloni przy ul.	2	Wigry II
3	Mielniczej 50, rozegrane zostanie	3	Manruy
4	spotkanie Jagiellonia Białystok	4	Czarni
5	— Plastik Słupsk o wejście do II	5	Jurand
6	ligi (rk)	6	Rominta
7		7	Nida
8		8	Unia Woźnice
9		9	Mazur Wędmyny
10		10	Rospusia Bakaj
11		11	Swet
12		12	Mazur Pisz

1	Baranowski (Jagiellonia).	20-4
2	Wigry II	18-6
3	Manry	18-6
4	Czarni	15-11
5	Jurand	11-13
6	Rominta	11-13
7	Nida	9-14
8	Unia Woźnice	8-16
9	Mazur Wydminy	6-13
10	Rospuda Bakul	5-13
11	Śwież	5-19
12	Mazur Pisz	5-19

Odkilnu dni w Biawymstoku trwaja eliminacje do mistrzostw wojewodzkiego seniorów w szachach. Po 5 rundach — z dorobkiem 4,5 pkt. — prowadzi Krzysztof Adamski (Jagiellonia). Tymczasem na podkreślenie zasług dobre gra juniorki Małgorzaty Brzozowskiej, która zdobyła dotychczas 3 pkt.		Poroztalne wyniki Mazur Pisz — Nida 1:1 4:1 Jak — omykno Sparta — Unia Woiźno 1:4 ni — Wigry II 1:5. Turand — puda Bakałazewo 1:1.																									
* w najbliższą sobotę i niedzielę, w klubach Jagiellonii przy ul. Mickiewicza 50, rozstrzygnie spotkanie Jagiellonia Biawystok — Piast Slupsk o wejście do II ligi (1-1).		<table> <tr><td>1. Baranowo</td><td>20:4</td></tr> <tr><td>2. Wigry II</td><td>18:6</td></tr> <tr><td>3. Manry</td><td>18:6</td></tr> <tr><td>4. Czarni</td><td>13:11</td></tr> <tr><td>5. Jurand</td><td>11:13</td></tr> <tr><td>6. Rominta</td><td>11:13</td></tr> <tr><td>7. Nida</td><td>9:15</td></tr> <tr><td>8. Unia Woiźno</td><td>8:13</td></tr> <tr><td>9. Mazur Wydmyny</td><td>8:13</td></tr> <tr><td>10. Turpuda Bakał.</td><td>5:19</td></tr> <tr><td>11. Sparta</td><td>5:19</td></tr> <tr><td>12. Mazur Pisz</td><td>5:19</td></tr> </table>		1. Baranowo	20:4	2. Wigry II	18:6	3. Manry	18:6	4. Czarni	13:11	5. Jurand	11:13	6. Rominta	11:13	7. Nida	9:15	8. Unia Woiźno	8:13	9. Mazur Wydmyny	8:13	10. Turpuda Bakał.	5:19	11. Sparta	5:19	12. Mazur Pisz	5:19
1. Baranowo	20:4																										
2. Wigry II	18:6																										
3. Manry	18:6																										
4. Czarni	13:11																										
5. Jurand	11:13																										
6. Rominta	11:13																										
7. Nida	9:15																										
8. Unia Woiźno	8:13																										
9. Mazur Wydmyny	8:13																										
10. Turpuda Bakał.	5:19																										
11. Sparta	5:19																										
12. Mazur Pisz	5:19																										

Herbatka
we dwoje
— po
japońsku.
Nawet
starsi
państwo,
zgodnie
z obyczajem,
zostawiają
obuwie
przed
wejściem
do pokoju,
gdzie
przy niskim
stoliczku
zasiadają
klęcząc
na
poduszkach,
rozrzuconych
na macie
zaścielającej
podłogę.
Fot. CAF
— JPS



Sukiyaki

(Korespondencja własna)

O d czasu do czasu, gdy dyskusja wkracza w sferę gospodarki żywnościowej, padają pytania:

— A jajka w Japonii się jada?
— Jada.
— Zgnie?
— Nie, takie podobno tylko w chińskiej restauracji.
— A w japońskiej jakie?
— Świeże, na surowo. Na przykład jako ważny składnik słynnego dania sukiyaki.

Opowiadam, co to takiego sukiyaki, a przed oczami mam obraz gejszy w srebrzystoszarzym kimono, która wprawny ruchem rozkłada skrupkę, wlewa ją do miseczki, miesza białko z żółtkiem i z głębokim ukłonem stawia przede mną na stole, obok takiej samej miseczki z ryżem. Stół jest bardzo niski, właściwie sam blat tylko, siedzi się przy nim na własnych gołych piętach, ale jak długo można, potem wyciąga ścięnięte nogi w bok, w przód... Pełniąca rolę gospodyni gejsza jest wyrozumiała, zachęca cudzoziemców do zajęcia wygodnej pozycji, ale jednocześnie zwraca pilną uwagę na gotującą się potrawę.

Bo sukiyaki przyrządza się na oczach biesiadników. Do żeliwnego rondla kładzie cieniusieńkie platy wołowiny, grzyby, pendle bambusowe oraz jarzyny — takie jak szczyptor, cebula czy kapusta, a wszystko to podlega obficie pikantnie doprawionemu olejem sojowym i ryżową wodą sake.

Kiedy mięso i jarzyny są miękkie, gejsza wkłada wszystkiego do trochu do miseczki z rozbeztłanym jajkiem. I już można delektować się specjałem, zagryzając ryżem. Oczywiście, przy pomocy pałeczek, ale dla niezadowolonych przybyszów z zagranicy zawsze znajdują się w pobliżu noże i widelce. Kiedy się je, następna porcja sukiyaki dusi się w rondlu, potem jeszcze jedna i jeszcze...

Sukiyaki jest potrawą od święta, od uroczystej okazji. Gościom z Europy serwuje się ją chętnie pewnie i dlatego, że w przeciwieństwie do innych dań japońskiej kuchni, na ogół im smakuje. W niektórych restauracjach można ją sobie samemu przyrządzać. Ale rzadko w jadołospisie przeciętnego Japończyka figuruje.

Je nie tylko z tej przyczyny, że wymaga sporo czasu i zachodu. Jest po prostu droga. Specjał ten bowiem wymaga ekstra wołowiny, najlepiej poledwicy słynnych wołów z Kobe. Region ten wyspecjalizował się w hodowli opasów znakomitej jakości. Ale czego też nie robi się, aby mieć to mięso i tak kruche. Pol stało do piwem, karni specjalnymi mieszankami, a poszczególne sztuki poddawane są na dodatek masażom.

Efekt takich zabiegów musi słono kosztować, wołowinę z Kobe ceni się więc na wagę złota i kupuje na dekagramy. Dość powiedzieć, że za kilogram trzeba zapłacić minimum 15 tys. jenów (1 dolar równa się ok. 240 jenów).

Miejsce jednak, chociaż obecnie jada się go więcej niż kiedykolwiek w dziejach Kraju Wschodzącego Słońca, ciągle nie liczy się tak bardzo na japońskim stole. Jak kaže tradycja i wyśpiarski charakter państwa, ryby są tu znacznie ważniejsze. Nie tylko zresztą same ryby, ale — jak określał to Włosi — frutti di mare, owoce morza. A więc wszystko co pływa i rośnie, a nie jest trujące.

Prawdziwym przymakiem mieszkańców archipelagu jest ryba na surowo. Kto oglądał film „Tajfun nad Nagasaki”, pokazywany niedawno także w naszej telewizji, ten wie, jak ją się przyrządza. Oczywiście konsumenci nie musi być świadkiem przyrządzania tego specjału, zwanego O-sushi, różniącego się znacznie rodzajem, kształtem, a także kolorem, ale składającego się z kawałkami surowej ryby, (ale również dobrze kraba, homara czy ośmiornicy) ryżu z jakąś przyprawą i zawiniętego w prasowane wodorosty. Ktoś nazwał O-sushi japońską kanapką. W barach szybkiej obsługi robi się je tak jak rolady, krojąc następnie na kawałki.

Dla wielu nie-Japończyków O-sushi, spożywane na zimno, jest trudne do przelknięcia. Ale temperatura — ryba z jarzynami w cieście, smażona na tuszku niczym paczki albo racuchy, odpowiada naszym kulinarnym upodobaniom. Zanim się doniesie (kto nie potrafi pałeczkami — może palcami) gorącą, chrupiącą tempurę do ust, macza się ją najpierw w sosie sojowym.

O Japonii mówi się, że jest potęgą światową w rybołówstwie. Statystyki podają wysokie spożycie ryb — ponad 30 kilogramów rocznie na osobę; o kilkanaście kg więcej niż w Skandynawii. Co to znaczy na co dzień można sobie obejrzeć na targu rybnym, albo w działach spożywczych wielkich domów towarowych. Podziwiałam gospodynie w kimonach: ile też one muszą wiedzieć, aby rozróżnić w tych dziesiątkach gatunków ryb, skorupiaków i wodorostów, a następnie umieć je przyrządzić, podać...

Chlebem powszednim i ziemniakami Japończyka, jego podstawą wyżywienia jest jednakże ryż. Je się go od śniadania do kolacji, będącej tu głównym posiłkiem. Jest zupa z ryżem, kanapka ryżowa, ryż zapiekany, ryżowa wódka i wino... Gotowany ryż spełnia podażę posiłku taką rolę jak u nas kromka chleba. Ba, ryż dodaje się do zielonej herbaty.

Dla Polaka ryż to jest po prostu ryż. Kropka. Japończyk odróżnia nie tylko ryż towarowy od konsumpcyjnego, ale także ileś tam gatunków tego ostatniego. Ich jakości wzbudza podobnie namiętne dyskusje, jak u nas pieczywo.

W Japonii ryż się nie tylko je, ale i uprawia. Jest on podstawą całego rolnictwa. Pola ryżowe to jedna z najbardziej charakterystycznych cech krajobrazu. Ścisłej — poletka, bo mała część gorzyszych wysp archipelagu nadaje się pod uprawę, a i tę uszczupla postępująca urbanizacja. Widziałam mikroskopijne poletka ryżu, przypięte gdzieś za fabrycznym murem, wciśnięte między zabudowania. Rolnicy japońscy wykorzystują do maksimum ziemię uprawną, wydajność ryżu na ha jest najwyższa na świecie. Pomimo to uprawa tej rośliny, jako bardzo pracochłonna, gdyż trudna do zmechanizowania, jest nieopłacalna. Aby zahamować ucieczkę ze wsi do miasta i utrzymać produkcję ryżu, rząd ustalił wysoką cenę skupu od chłopów. Wyższą od cen światowych i oczywiście także od ceny detalicznej na rynku wewnętrznym.

Japońskiej kuchni nie można sobie wyobrazić bez soi. Jest zupa sojowa, pasta sojowa, słodkie sojowe nadzienie do ciast i ciastek. W sosie sojowym macza się nie tylko tempurę, ale także wodorosty, podawane jako przystawki. Nic więc dziwnego, że wśród upraw roślinnych soja zajmuje drugie, po ryżu — miejsce.

Pije się w Japonii ryżowy napój alkoholowy — sake, pije dużo piwa, ale przede wszystkim pije herbatę. Zieloną. Jakże jednak inną w smaku od angielskiej zielonej herbaty, czy choćby uzbekiej. Ale dla turysty liczy się nie herbata i nie smak, a ceremonia parzenia, zwana chanoyu.

Być w Japonii i nie widzieć ceremonii, to gorzej niż przeoczyć w Rzymie papieża. No więc ogląda się i degustuje, przede wszystkim w odpowiednich lokalach albo przy zabawkowych świątyniach. Interesujące to widowisko, mnie jednak zaciekawiły przede wszystkim akcesoria w nim używane. Zieloną sprószkowaną herbatę (określaną jako w pudrze) używano do ceremonii, przechowywane w pięknych pudełkach z laki, a wyjmując stantąd za pomocą oryginalnych łyżeczek bambusowych. Zalany wrzątkiem proszek ubija się, jak pianę z białka, czymś w rodzaju trzepaczki sporządzonej z bambusa, przypominającej pędzel do golienia. Herbatę pije się nie w filiżankach, a w miseczkach — czarkach. Podobnych naczyń używa się do sake, zup, ryżu czy przystawek, tyle że różnią się one wielkością. Taki zestaw akcesoriów można sobie zafundować za „jedną” kilkanaście tysięcy jenów. Sama herbata, a szczególnie ta w proszku, jest też zresztą bardzo droga. Nie używa się na co dzień porcelany, z której przecież Japonia słynie, a zwykłą kamionkę.

Każda Japonka zna ceremonie parzenia i podawania herbaty. Uczy się tego od małości. Uświęcony tradycją zwyczaj ciągle jest żywy, dzieci w szkole wkuwają nazwiska twórców chanoyu a także tych, którzy ją rozwinieli i udoskonalili. Pracownicy japoński dzień nie pozwala, już dziś jednak na długie ceremonie, zostawia się je na święta i uroczyste okazje. Zaś od rana do wieczora, przy posiłkach i pomiędzy nimi, pije się herbatę parzoną z suszonych liściów metodą czajnik — wrzątek.

ANIELA ŁABANOW

Ciąg dalszy ze str. 1

wiem trwała zaledwie do 16 listopada 1939 roku. To w tym właśnie dniu Gestapo aresztowało prawie wszystkich organizatorów pierwszej grupy ruchu oporu.

— Niemcy wybrali ich jak raki z sieci, wspomina Tadeusz Moderański, syn Wawrzyńca, tego samego, u którego w domu często bywał Bieliński. Był doskonale poinformowany. Zdając o kazał się sierżant Majchczak — przyjaciel Bielińskiego. I to był największy jego dramat. Tragedia całej grupy było to, że została ona aresztowana przed swoją pierwszą, skrupulatnie zaplanowaną, akcją bojową. Miał nią być zamach bombowy na kino, które przeznaczono wtedy „Nur für Deutsche”. Wybrano dzień, w którym miał iść szczególnie atrakcyjny film zapewniający, że ściganie wszystkich hitlerowskich dygnitarzy. Jako następne cele ataku wyznaczono kościół garnizonowy, w którym Niemcy urządzili magazyny oraz most kolejowy na Hanzy.

Nie doczekali akcji bojowej, choć starannie się do niej przygotowywali. Trudno było ginąć nie w boju, lecz patrząc w lufy karabinów plutonu egzekucyjnego.

Z listu „Oleńki” — Aleksandra Kujalowicz, pisanego z więzienia na 6 dni przed egzekucją, do rodziców: „Najukochańsi rodzice! Ostatni raz piszę do was. Wczoraj jedenastu mężczyzn i ja stanęliśmy w szeregu na podwórku więziennym i potem: „Wszyscy jesteście wyrokami sądu skazani na śmierć”. Dziś, kiedy ostatni raz patrzę na świat, staje

przede mną całe moje życie. Jestem dumna, że mam takich rodziców, że mnie tak wychowali. Bądźcie pewni, że nie spamięlam swej duchowej i politycznej działalności. Przebaczenie, jeśli byłam powodowana żądzą zemsty.” „Oleńka”.

Nie był to jednak list ostatni. Jeszcze jeden skrawek papieru dotarł do adresatów: rodziców i rodzeństwa.

„Dziwne jest uczucie skazania. Odczuwa ból śmierci, (...) Za to że, jestem Polką, muszę opuścić ten świat, bo tu jest za ciasno. Zginę jak miliony bohaterów, za Ojczyznę. Takie jest moje przeznaczenie. Chwilami zdaje mi się, że to sen, ale niestety to jawna prawda, twarzą rzeczywistość — muszę umrzeć. Pragnę, by Jan i Irka szły w życiu moimi śladami...”

Wielu ich, młodych, poszło wtedy w ślady tych, którzy w słoneczny dzień 26 kwietnia 1940 r. ostatni raz patrzyli na świat. Wspomina Julian Zieliński, wtedy 19-latek, zaprzysiężony przez Bielińskiego.

— My wszyscy młodzi, ażeśmy się do walki. Nikt nie dopuszczał nawet myśli,

że taka sytuacja może trwać długo. Wynieśliśmy z domu przywiązanie do wszystkiego co polskie, co związane z Ojczyzną. Chcieliśmy walczyć, choć Bieliński ostrzegał, że to bardzo niebezpieczna robota.

Julian Zieliński, pseudonim „Klin”, uniknął aresztowania. Jemu udało się zrealizować pragnienie walki. Z tamtych lat został mu

grupa zwielokrotniona. Powstała cała sieć obejmująca swoim zasięgiem duże tereny Suwalszczyzny, przygotowane do akcji bojowej. Wtedy nastąpił tragiczny finał najbardziej zaangażowanych członków grupy — padli ofiarą okupacji. Wtedy też, nie na polu walki, ale w gestapoowskich kazamatach, zapisana została heroiczna, bohaterka karta. Na nic zdziły się wielomiesięczne tortury. Z ust Bielińskiego i innych nie padło żadne nazwisko.

Nie zginęli w walce bezpośredniej. Umierali patrząc w lufy karabinów plutonu egzekucyjnego. Ale umierali śmiercią bohaterów. Tak jak wielu tysięcy innych, którzy podjęli ich dzieło.

Kpt. Stanisław Bieliński, por. Włodzimierz Pilecki, sierż. Wacław Mroczek, sierż. Włodzimierz Młynarski, sierż. Aleksander Murawski, sierż. Zdzisław Mroczek — żołnierze Września. Aleksandra Kujalowicz — nuczycielka z Poddubówka, Jan Wisiński — ślusarz z Suwałk, Antoni Tłochim — mieszkaniec wsi Dekszne, Piotr Niewiara — urzędnik z Suwałk, Władysław Januszewski nauczyciel z Kaletnika, Józef Korejwo ze wsi Sejwy i Maria Smolarek — nauczycielka z Suwałk. Ich nazwiska widnieją na tablicy pamiątkowej w Lesie Świątecznym. Pod nimi widnieje dwa słowa — Cześć Bohaterom!

Reprezentowali różne środowiska i różne zawody. Myśleli tak samo o wspólnej sprawie. Byli Polakami.

STANISŁAW KULKOWSKI

BYLI POLAKAMI...

Krzyż Walecznych i Virtuti Militari.

„Za Kapitanem podeszli do granicznego stupa z białym orłem. W skupieniu zdjęli furazęki i każdy położył dłoń na wizerunku orła. Słowa przysięgi płynęły z głębi serc, ułożyły się jakoś same. Ucałowali godło wolnej Ojczyzny. Odpruli dystynkcje i zniszczyli dokumenty. Byli już tylko żołnierzami Polski podziemnej”.

(Aleksander Omiłjanowicz „Było to nad Czarną Hańczą”)

Takie były początki pierwszej grupy ruchu oporu na Suwalszczyźnie. W ciągu kilku zaledwie dni zdążyli zgromadzić 2000 karabinów, 30 cekaemów, ponad 100 pistoletów i amunicję. W ciągu następnych tygodni wąska

Grupa Garaniana

Niezbędnie często zdarza nam się wystąpić w Białymstoku koncertu, w którym udział bierze taka plejada znakomitości. Myślę tutaj o występie big-bandu radzieckiej firmy płytowej „Melodia”, prowadzonego już od lat przez Georgija Garaniana. W zasadzie jest to duża orkiestra studencka, tworząca piosenkarzom w czasie nagrywania płyt oraz tworząca własne krążki. Postać Garaniana jest o tyle ciekawa, że ten jeden z najlepszych kompozytorów jazzowych i rozrywkowych, muzyk i aranżer podziwiany m. in. na warszawskim festiwalu „Jazz Jamboree”, jest z zawodu inżynierem i muzycznym samoukiem. Zespół „Melodia” wystąpił w woj. białostockim w zmniejszonym składzie, w którym oprócz sekcji rytmicznej znalazły się 3 trąbki, 3 puzony i saksofon. Był to zatem prawie klasyczny skład big-bandu.

Tym razem jednak zespół Garaniana, mimo iż grał samodzielnie kilka utworów, zajął drugą rolę. Stało się to za sprawą kilku wokalistów, którzy należą do czołówek wykonawców radzieckich i są dobrze znani również naszej publiczności. Wszyscy oni, bez wyjątku, reprezentują najwyższy poziom sztuki wokalne, wykazując się — oprócz wokalnych — doskonałym wykształceniem. Panie — Larysa Kandatowa, Ksenija Georgiad i Irina Ponarowska — przedstawiały po kilka piosenek w znakomitej aranżacji. Podobną rolę w laurecie festiwalu sopołkiego Lew Leszczenko, natomiast niesamowitą wręcz skalą głosu i barwą zachwycał młody architekt Albert Asadulin. Jest to chyba pierwszy wokalista, którego występem kiedykolwiek na żywo, dysponujący taką rozpiętością dźwięku.

Wszyscy ci wykonawcy znaleźli dobrego partnera w postaci Garaniana i jego orkiestry. Inteligentne aranżacje i duża sprawność techniczna poszczególnych muzyków — łącznie z liderem, który grał na saksofonie — sprawiły, że ten występ można uznać za pewnego rodzaju wydarzenie w naszym regionie. Najczęściej mamy bowiem do czynienia z recitalem jednego wykonawcy na tak dobrym poziomie, tutaj mieliśmy takich autentycznych gwiazd kilka, łącznie oczywiście z samą orkiestrą. Po koncercie „Ludmiły Zytkiny i zespołu „Rossija” był to wspaniały akcent muzyczny tegorocznych Dni Kultury Radzieckiej.

J. GRÜN

Larysa Kandatowa wystąpiła z zespołem Georgija Garaniana.

Spokojnie. Fot. Gabor Lorinczy

GDZIE SIĘ DWÓCH BIJE...

Sytuacja wyborcza w Stanach Zjednoczonych wydawała się być już praktycznie wyjaśniona. Na placu boju pozostało bowiem w zasadzie dwóch kandydatów na stanowisko prezydenta. Lecz oto pojawił się ten trzeci. Czyżby miało się sprawdzić powiedzenie: gdzie się dwóch bije...

Zaczniemy jednak rzecz całą od początku. Otóż jest już więcej niż pewnie, że do decydującej rozgrywki o fotel prezydenta w dniu 4 listopada, staną nie dwaj, lecz trzej pretendenci. Mianowicie — Jimmy Carter, który zyskał znaczną przewagę nad swym rywalem z ramienia Partii Demokratycznej — Edwardem Kennedym, Ronald Reagan, z którym nie ma już prawie żadnych szans na zwycięstwo jego konkurent z Partii Republikańskiej — George Bush i wreszcie w polu widzenia wyborców amerykańskich znalazł się trzeci kandydat do tytułu prezydenckiego. Jest nim mianowicie John Anderson, który opuścił szeregi republikanów i oficjalnie ogłosił się kandydatem niezależnym. Tego rodzaju „pokrowa dydatem niezależnym” nie jest obca amerykańskiej scenie wyborczej. Nigdy nie zdarzyło się jednak by kandydat niezależny zwyciężył. Partie — republikancka i demokratyczna — robią bowiem zawsze wszystko, aby nie dopuścić do precedensu i ochrony nieustraszonej tradycyjny system dwupartyjny.

Oczywiście Anderson jest świadom oczekujących go trudności. Ale chce dać Amerykanom szansę „poszerzonego wyboru”. Zamierza więc odwołać się do tej części wyborców, których określa się jako politycznie niezależnych, a także do tych, którzy nie mając innej alternatywy popierali dotąd Cartera bądź Reagana.

Tak więc senator z Illinois rzucił świadome wyzwanie obowiązującemu schematowi. Być może stanie się to początkiem zmian w amerykańskim systemie wyborczym, opartym dotąd na dwupartyjnym rywalizacji.

MIECZYSLAW CHAJA

PARYSKIE SPOTKANIA

Zbliża się termin spotkania przedstawicieli europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Paryżu. Tematem obrad tego doniosłego forum będą problemy pokoju i rozbrojenia na naszym kontynencie. Z inicjatywy tą wystąpiły wspólnie PZPR i FPK.

Jak oświadczył ostatnio sekretarz generalny FPK, G. Marchais — lista uczestników nie została jeszcze zamknięta, ale wiadomo już, że weźmie w nim udział ogromna większość partii. A więc zarówno tych, które znajdują się w władzy, jak i tych, które stanowią wielką siłę polityczną mającą znaczny wpływ w szeregach opozycji zachodnich. Celem paryskiego spotkania jest zajęcie stanowiska wobec najważniejszych problemów współczesności — pokoju i rozbrojenia. W sytuacji, gdy Stany Zjednoczone i symulowany przez nie Fakt Północnoatlantycki podjęły kolejną próbę zniszczenia klimatu odprężenia w Europie i podminowania fundamentów międzynarodowego bezpieczeństwa, nie można siedzieć z założonymi rękami. Niebezpieczne decyzje Rady NATO z 12 grudnia 1979 roku, w sprawie produkcji i rozmieszczenia w Europie Zachodniej nowej generacji broni rakietowo-jądrowej, nakazała wszystkim siłom postępowym, wszystkim ludziom dobrej woli, zdecydowanie przeciwstawienie się tym zimmownym zakusom.

Stanowisko uczestników posiedzenia paryskiego zostanie określone w specjalnym apelu. Będzie on miał charakter otwartego i szerokiego wezwania do wszystkich sił w Europie, gotowych współdziałać dla dobra pokoju i rozbrojenia. Dla umocnienia przyjaźni między narodami.

SANKCJE

Z rezerwą i zastrzeżeniem poparcia zachodnią „dziewiątką” amerykańskie sankcje przeciwko Iranowi. Nie są one takie o jakich myślał Waszyngton. Mają one tyle

rzeczywisty co propagandowy charakter.

Biały Dom nie ukrywa rozczarowania. Oczekiwano tu od zachodnich sojuszników natychmiastowego zerwania stosunków dyplomatycznych z Iranem i przyłączenia się do ogłoszonego przez Stany Zjednoczone bojkotu handlowego. Tymczasem decyzje krajów „dziewiątki” są raczej wyważone i ostrożne. Jak twierdzą wniemienieni, stało się to szczególnie za sprawą Francji, która jest zdania, że nie można użyć niczego, co pogwałciłoby ryzyko zastrzeżenia sytuacji czy to w Iranie, czy gdzie indziej. Stąd też przyjęte sank-

ZAMIESZKI

Raz po raz pojawiają się w prasie wzmianki o zamieszkach w Assamie. Padają zabici i ranni, trwają pożary. Tysiące rodzin straciło dach nad głową. Dlaczego, co jest tego powodem?

Assam jest jednym z północno-wschodnich stanów Indii, leżącym nad granicą chińską. W ostatnich 30 latach osiedliło się tu także w sąsiednich stanach Nagaland, Manipur, Tripura, Aruna-

czal Pradesh, Mizoram i Meghalaya, około 5 mln imigrantów z Bangladeszu, Birmy i Nepalu. Ci nielegalni przybysze pogłębiają i tak już niekorzystną sytuację materialną miejscowej ludności, spowodowaną bezrobociem, inflacją i głodem. Nie wiedząc, że wśród rdzennych ludności assamskiej zrodził się ruch skierowany przeciwko „czudziomcom”, którego rezultatem są trwające od ponad pół roku permanentne zamieszki w tym stanie. Ale nie wyjątkiem to jeszcze wszystkich. Panuje bowiem przekonanie, że w tej swojej „wojnie domowej” maczają ręce Chłirczy. Celem tych działań jest odwrócenie północno-wschodnich prowincji a tym samym osłabienie gospodarcze w Assamie wydobywa się znaczne ilości ropy naftowej i polityczne Indii.

Sytuacja w Assamie zaniepokoiła rząd Indry Gandhi. Podjęte więc zostały daleko idące kroki zapobiegawcze. Ale narosłe latami konflikty narodowościowe, pogłębione trudnościami gospodarczymi, nie są łatwe do rozwiązania. Tym bardziej, że utrudnia je zakonspirowana ingerencja północnego sąsiada.

tydzień na świecie

cie są rozłożone w czasie. W pierwszym etapie ma nastąpić częściowa redukcja ambasad krajów Wspólnego Rynku w Teheranie, przy jednoczesnym zadaniu podobnego zmniejszenia obsady irańskich placówek dyplomatycznych w stolicach zachodnich. W drugim zaś miałyby być zastosowane bojkot ekonomiczny Iranu, łącznie z zaniechaniem importu i wstrzymaniem eksportu. Ale termin tego bojkotu nie został ustalony. Przypuszcza się, że czyli po podjęciu decyzji w sprawie zakładników amerykańskich przez nowo wybraną parlament irański. Oczywiście w przypadku, gdyby decyzja ta była niekorzystna dla zakładników. To ostrożne stanowisko „dziewiątki” dowodzi, że nie data się ona wmanewrować w amerykańską politykę z pozycji siły.

Sankcje zachodnie — choć ograniczone — nie są niespodzianką dla Teheranu. Władze Iranu zdają sobie sprawę, że kraje EWG nie mogły postąpić inaczej wobec zdecydowanego szantażu ze strony Waszyngtonu.

„GW”: — Zanim przystąpię do rozmowy z Panem, pozwolę sobie w kilku zdaniach scharakteryzować wiesz, w której Pan sołtyśuje jako najmłodszy — lat 30 — przedstawiciel władzy administracyjnej w gminie, a może nawet i w województwie.

A więc wiesz Kleosin jest najbogatsza, ale też i najbiedniejsza wsią w kraju, a może i w świecie. Najbogatsza — bo funkcjonuje tutaj, jako jedyna w Polsce na wsi, wyższa uczelnia — Instytut Mechaniki Politechniki Białostockiej, o dwu specjalnościach i tysiącach studentów, a ponadto Przedsiębiorstwo Budownictwa Rolniczego. Najbiedniejsza, gdyż na prawie 3 tys. mieszkańców jest zaledwie 26 gospodarzy. Chociaż powierzchnia wsi i dokładnej liczby mieszkańców nie udało mi

może coś się zmienić. Przedtem, żona. Kazimierz Barcikowski nie chciał, aby on ponownie sołtyśował, a był nim przez 12 lat („bo to trzeba załatwić i tamto, a co i raz wódka”); to mnie ludzie obrali. Tak naprawdę to nie było komu zostać sołtysem, mnie nie pasowało, ale zostałem od razu. Po prostu — stawka na młodych idzie, niechaj zatem zostanie najmłodszym w gminie. Na wsi prawdziwej sołtyś zupełnie inne powołanie i autorytet ma. W Kleosinie nie. Dobrze, jeśli jeszcze ktoś na rządowej posadzie jest, wolne soboty ma i w ogóle. A ja murarzem jestem i muszę sam na siebie i rodzinę zarobić.

P.: — Ale interesanci Pana odwiedzają?

O.: — Często nie ma dnia, żeby kogoś nie było. Przeważnie za kartkami na cu-

Juchnowcu, poczta w Księżynie i tam skład opału, a wszyscy dojeżdżają do Białegostoku, do pracy. Zresztą połączenie jest dobre: dwa autobusy; dziesiątka i jedenastka kursują.

P.: — W jaki sposób gmina pomogła w Pana staraniach?

O.: — Gmina nic nie mogła, były tylko zebrania.

Świerczewskiego tak porządnie powierzchnię, sami na wieżę, że fiatem trójką można jechać. A dla odmiany na Wańkowicza: zupełnie pustka — nie ma, domy nie zamieszkałe stoją.

P.: — Jak Pan się czuje jako sołtyś?

O.: — Zadowolony jestem, że wybrałem mnie sołtysem. Ja powiem tak: ja z siebie dam wiele — czasu, roboty, zaangażowania. Chciałbym, żeby na początek było jeszcze paru mnie podobnych. Wtedy trochę zrobimy. A jak ludzie to zobaczą, sami do nas przyjdą. I w ten sposób rozrusza się społeczna inicjatywa. Z czynami na prawdziwej wsi jest inaczej. Sołtyś ogłosił, napisze i to jest święte, ludzie odmiennie do sprawy podchodzą, z powagą i zrozumieniem. A u nas np. wywiesi się ogłoszenie, to ono nikogo nie wzruszy, tak, jakby go nie było. Ale ono jest i wiem, że wiele osób na stanowiskach w Kleosinie mieszka. Cóż jednak z tego? Tak było np. z psami. Latąca dużo psów u nas chowała. Po czterech, po trzy. Latąca one po ulicy i nikt ich nie pilnuje. Więc ja w gminie zapalałem kiedys, co z tymi psami robić? Czy ja wiem: ponotować ich, czy co? Oni, w gminie znaczy, powiedzieli proszę bardzo, proszę je powstrzymać. Ale jak to mnie sołtyś, kiedy ja nawet strzelby nie mam.

P.: — W gminie słyszałem opinie, że Kleosin jest

wsią trudną, „ciężką, jak dżungla”.

O.: — To prawda, bo różni ludzie tutaj mieszka. Na zebranie z tych trzech tysięcy przychodzi 10—20 osób, wprost wylizani. Mieszkańcy są tutaj nie zżyci, tak, jak nie zżyta może być klasa. A chcieliśmy, żeby w Kleosinie mieszkało się inaczej. Żeby chodniki były, drogi i żeby w ogóle jakoś ładnie było. Ale ja środków nie mam na to żadnych. Chodnik, to prawda, zrobili, nie wiem: PBRol, czy Politechnika, do ulicy Staffa. Dalej nie ma.

P.: — Jak jest życie w Kleosinie?

O.: — Jeśli sołtyś może pomarażyć, to chciałby, aby na wszystkich domach były dokładne numery, żeby orientacja była, tzn. żeby zarządcy, wodociągi i w ogóle porządku. Po co komu taki interes? Półki na Kleosinie zrobić porządek, to trzeba dużo roboty. A teraz, póki co, pod wioskę wszystko podpada. I to pod taką zabita wioskę, gdzie ani dojechać, bo takśowa z szosy nie zjeżdża, ani dojechać jesienią, czy wiosną. Chociaż, nie powiem, jeśli ludzie chcą, to swoje osiągną. Na ulicy

Bez autorytetu

się ustalić (nie funkcjonują telefony do odpowiednich wydziałów Urzędu Gminy w Juchnowcu), dowiedziałem się, że gruntów ornych jest 52,25 ha (według innych danych — 81,81 ha), w tym m. in. żyto siewne na 6,8 ha, owies na 8,6 ha, ziemniaki sadzi się na prawie 11 ha. Zwierząt gospodarskich: krów jedna (okazuje się ostatnia, że sprzedana, ale jest za to blisko 100 samochodów osobowych, bagażowych i ciężarowych), koni cztery, świń szesnaście i 22.066 szt. drobiu.

Pytanie: — Gdzie leży Kleosin?

Odpowiedź: — Pan żartuje chyba. Oczywiście, że w Białymstoku, zaraz za Nowym Miastem. To znaczy, poza Białymstokiem i granicami administracyjnymi miasta, w gminie Juchnowiec.

P.: — W jaki sposób zostaje się sołtysem?

O.: — Czy ja wiem, jak to można powiedzieć? Przez wybranie przez ludzi.

P.: — Jakie warunki powinien spełniać sołtyś?

O.: — Właściwie jak ludzie wymagają, proszą a nie raz i namemu przyjdzie jakąś sprawę załatwić, rozstrzygnąć, żeby mieszkańcom było dobrze. Wtenczas trzeba być sołtysem, władzę reprezentować.

P.: — Co wymagali wyborcy, zanim obrali Pana sołtysem?

O.: — Więc mieszkańcy Kleosina spodziewali się po mnie, że ja młody jestem, może coś załatwię, może będzie inaczej według osiedla,

Rozmowa z JÓZEFEM KLIMEM, sołtysem wsi Kleosin gm. Juchnowiec, woj. białostockie.

i karabinu

kier, to na okrągło i podatki, cztery razy do roku. Przychodzi też za mieszkaniami, za koksem i opalem. Jeśli mnie nie ma w domu, żona to załatwia, choć nie za bardzo, gdyż nie chce w te zagadnienia wchodzić. Ja zaś załatwiam podatki — obowiązki, węgiel i koks każdemu, bo każdy chce mieszkanie opalić. A z innych rzeczy — zależnie od sprawy.

P.: — Jaki powinien być sołtyś, jakie wymogi powinien spełniać?

O.: — Tego nie wiem, nie powiem.

P.: — W maju br. minie dwa lata, odkąd objął Pan sołtyśowanie w Kleosinie. Co przez ten czas załatwił Pan dla wsi?

O.: — Jako sołtyś za wiesz nie załatwiłem, bo na dobrą sprawę nie ma z kim, nie ma do kogo się udać, porozmawiać. Bo nawet nie do gminy, gdyż gmina nie chce nas przyjąć.

P.: — Dlaczego?

O.: — W Kleosinie nie ma gospodarstw rolnych, więc nie ma dochodowości i podatki w związku z tym są małe, a ludzie pracują w mieście. U nas na przykład jest tak, że władza jest w

My, na przykład, chcieliśmy mieć świetlicę, jakiś klub młodzieżowy, gdzie można by zabawy urządzać, wesela. Ludzie powpłacali po 200 zł i miał być lokal przy sklepie, gdzie na dwa lata zabrali budynek Wydziału Kultury i Sztuki. Dwa lata mijają, a oni dalej tam siedzą. I nic, tak jakos zostało.

P.: — A sprawa dróg?

O.: — Problem dróg to zupełnie inna kwestia. Jeśli dróg nie ma na Nowym Mieście, w Białymstoku, to u nas mają być? Kto o tym będzie myślał? Gmina nie będzie robić, bo gminie na tym nie zależy. Miasto tak samo. Ja powiem tak: my musimy iść pod miasto. A jeżeli podziemy za rok, a może lada chwila, to ono nie za bardzo nie chce nas przyjąć, gdyż musi robić kanalizację, wodociągi i w ogóle porządku. Po co komu taki interes? Półki na Kleosinie zrobić porządek, to trzeba dużo roboty. A teraz, póki co, pod wioskę wszystko podpada. I to pod taką zabita wioskę, gdzie ani dojechać, bo takśowa z szosy nie zjeżdża, ani dojechać jesienią, czy wiosną. Chociaż, nie powiem, jeśli ludzie chcą, to swoje osiągną. Na ulicy

wsią trudną, „ciężką, jak dżungla”.

O.: — To prawda, bo różni ludzie tutaj mieszka. Na zebranie z tych trzech tysięcy przychodzi 10—20 osób, wprost wylizani. Mieszkańcy są tutaj nie zżyci, tak, jak nie zżyta może być klasa. A chcieliśmy, żeby w Kleosinie mieszkało się inaczej. Żeby chodniki były, drogi i żeby w ogóle jakoś ładnie było. Ale ja środków nie mam na to żadnych. Chodnik, to prawda, zrobili, nie wiem: PBRol, czy Politechnika, do ulicy Staffa. Dalej nie ma.

P.: — Jak jest życie w Kleosinie?

O.: — Jeśli sołtyś może pomarażyć, to chciałby, aby na wszystkich domach były dokładne numery, żeby orientacja była, tzn. żeby zarządcy, wodociągi i w ogóle porządku. Po co komu taki interes? Półki na Kleosinie zrobić porządek, to trzeba dużo roboty. A teraz, póki co, pod wioskę wszystko podpada. I to pod taką zabita wioskę, gdzie ani dojechać, bo takśowa z szosy nie zjeżdża, ani dojechać jesienią, czy wiosną. Chociaż, nie powiem, jeśli ludzie chcą, to swoje osiągną. Na ulicy

JUBILEUSZ XV — lecia CHÓRU AMB



Ostatnie dni kwietnia są dla Chóru Akademii Medycznej w Białymstoku szczególnie uroczyste. W tym czasie obchodzi on jubileusz XV-lecia. W programie uroczystości, trwających od 24 do 27 kwietnia, organizatorzy przewidzieli szereg interesujących koncertów, spotkań, imprez. Słuchaczami pierwszego koncertu byli pacjenci Państwowego Szpitala Klinicznego, co stanowi swoisty symbol, bowiem zawsze w centrum zainteresowania medyków pozostają pacjenci, a ich samopoczucie stanowi główny przedmiot troski lekarzy i studentów medycyny.

W drugim dniu jubileuszu otwarta została wystawa „15 lat Chóru AMB” ukazująca dotychczasową działalność zespołu. Ekspozycja zawiera zdjęcia, programy, afisze, plakaty, księgi pamiątkowe — zatem wszystko, co dokumentuje przeszłość i dzień dzisiejszy chóru. W auli Pałacu Branickich wystąpiły białostockie chóry akade-

na Międzynarodowym Festiwalu Muzycznym w Middlesbrough w Anglii w 1976 roku, w dwa lata później Inagrodza na X Festiwalu Pieśni o Ojczyźnie w Krasniku, a na XI Festiwalu w Krasniku — „Grand Prix” oraz piąte miejsce na Międzynarodowym Festiwalu Chóralnym w Gorycji we Włoszech w 1979 roku. Chór koncertował w wielu miastach Polski, a także odwiedził Związek Radziecki, Irlandię, Wielką Brytanię, Belgię, Hiszpanię, Portugalię i Włochy.

Koncerty od kilku już lat utrzymują się na wysokim poziomie (o czym świadczą nagrody festiwalowe i recenzje), dzięki czemu chór zaliczany jest do czołowych polskich chórów akademickich. Wiesława Krokiewska, specjalista d/s muzyki w Centralnym Ośrodku Metodyki Upowszechniania Kultury i Małej Jaskiewicz, dyrygent Warszawskiej Opery Kameralnej — członkowie Rady Artystycznej d/s Chórów Studentek

zawodu, uwzględniających przede wszystkim pracę indywidualną. Stąd bierze się chyba trwałość Chóru AMB. Istotną rolę w nieprzerwanym rozwijaniu zespołu odegrali kolejni dyrygenci: Mieczysław Szymański, Józef Siebert i Zofia Hamerlak-Gładyszewska. Do czołówek zespołów studentek w kraju dołączył Chór AMB w okresie, kiedy dyrygentem jego był niezwykle utalentowany Roman Ziębiński. Obecnie batutę przejął Zbigniew Szabewski, dyrygent Filharmonii Białostockiej.

Chór cieszy się zawsze ogromnym zainteresowaniem władz uczelni, ZW SZSP i Rady Uczelnianej SZSP. Stwarzano zespołowi możliwe najlepsze warunki pracy, a także — i jest to może nawet ważniejsze — tworzył się wokół zespołu ten szczególny klimat akceptacji, jaki jest potrzebny w każdej amatorskiej działalności artystycznej. Repertuar Chóru jest bardzo wszechstronny. Obejmuje wszystkie epoki i

Pasja śpiewania

miękie: Politechniki Białostockiej, Filii Uniwersytetu Warszawskiego, Wydziału Łaskarskiego PWST i Akademii Medycznej. W Filharmonii Białostockiej można było wysłuchać koncertu symfonicznego z udziałem Chóru AMB. Miłośnicy muzyki chóralnej także dziś (26 kwietnia) będą mogli odwiedzić Filharmonię, gdzie odbędzie się ostatni już w dniach jubileuszu koncert chóru.

Uroczystościom towarzyszy Ogólnopolskie Seminarium Dyrygentów i Prezesów Chórów Studentek. Białostocki chórzyści zamierzają skorzystać z obecności gości seminarium, by omówić z nimi nową możliwość rozbudowania zainteresowań muzyką chóralną w środowisku białostockim. Chcieli oni w przyszłości zorganizować cykl koncertów z udziałem chórów akademickich z całej Polski. Inicjatywa wydaje się interesująca nie tylko w kontekście aktywności kulturalnej studentów, ale także ze względu na możliwość wzbogacenia życia muzycznego miasta.

Piętnastoletnia działalność Chóru charakteryzuje się wieloma sukcesami. Najważniejsze to: III nagroda na Ogólnopolskim Konkursie Chórów Studentek „Polska Muzyka Dawna” w Szczecinie w 1967 roku, trzecie miejsce w Ogólnopolskim Przeglądzie Chórów Studentek w Poznaniu w roku 1972, nagroda miasta Legnicy w Ogólnopolskim Turnieju Chórów „Legnica Cantat IX”, II nagroda

przy Wydziale Kultury ZG SZSP, którzy są częstymi gośćmi prób i koncertów Chóru AMB, w udzielonym mi wywiadzie wiele mówili o wyjątkowej pracy chórzystów, wskazując przyczyny trwałości zespołu. Ich refleksje mogą zainteresować białostoczian, zwłaszcza, że Chór AMB nie jest jedynym chórem amatorskim w naszym mieście i regionie.

„Naszym zdaniem istotą śpiewu w chórze jest możliwość czynnego uprawiania muzyki przez ludzi nie posiadających zawodowego przygotowania. Praca w zespole i występy przed publicznością wytworzą poczucie wspólnej odpowiedzialności za wykonanie utworu, jak również zacieśniają kontakty emocjonalne między członkami zespołu. Są to powody, dla których ludzie wrażliwi, raz stanąwszy w chórze na estradzie, na długo pozostają czynnymi lub biernymi entuzjastami muzyki chóralnej. Obserwując studentkę środowiska chóralnego zauważamy, że szczególnie zainteresowanie wspólnym śpiewaniem przejawiają studenci kierunków technicznych, znajdując w nim możliwość pełniejszego rozwoju swojej osobowości, a także medycy, których miłośnictwo sztuki muzycznej znane jest od wieków. Być może wspólna odpowiedzialność za efekty pracy oraz możliwość współdziałania w grupie jest dla nich odprężeniem po trudnych zajęciach związanych z nauką

style, utwory kompozytorów polskich i obcych, co jest niezbędne w konfrontacji z zespołami krajowymi i zagranicznymi na festiwalach i konkursach. Wszelkoność ta, w połączeniu z wysokimi umiejętnościami, przynosi polskim chórom studentek laury międzynarodowe, które niestety nie są tak rozkręcamowane, jak o wiele skromniejsze sukcesy np. sportowców. Niesłychane zaangażowanie chórzystów, ich poświęcenie i talent pozostają zawsze w cieniu blasków karier piosenkarzy. Przy okazji jubileuszu Chóru AMB, podkreślając duże zasługi dyrygentów, działaczy, prezów, nie wolno zapomnieć, że jest to święto przede wszystkim tych, którzy przez wiele lat swoje serce i anonimową pracę oddają muzyce”.

Warto dodać, że w białostockim Chórze Akademii Medycznej śpiewają nie tylko studenci, ale także lekarze, którzy po opuszczeniu murów uczelni nadal pozostali wierni chórowi. Dr med. Antoni Sydor w dniach jubileuszu obchodzić będzie również piętnastoletnie pracy w chórze. Wielu studentów kończących studia zamierza w przyszłości nadal wszystkie swoje wolne chwile spędzać na próbach.

Wielką przysgodą z muzyką stała się ich pasja, radością, a także dodatkową, wyjątkową pracą, że co w dniach jubileuszu wypada im podziękować.

ANNA NIKE MINEYKO

Jego wysokość komornik

Andrzej L. jest urzędnikiem od załatwiania interesantów. Zna dobrze swoje obowiązki i wypełnia je sumiennie. Interesanci nie piszą na niego doniesień, bo Andrzej L. jest człowiekiem ludzkim, przeczynnym oraz po studiach. Poza tym na religii dowiedzieli się, że ma czynić drugiemu jak jemu miło. Toteż czyni, pomny zasady, że w życiu różnie bywa, raz się jedzie wierzchem, raz spodem, czyli że może się i tak zdarzyć, że urzędnik sam stanie się kiedyś petentem.

Wypadek taki przydarzył mu się 25 marca. Andrzej L. poszedł do obywatela Lecha W., komornika IV Rewiru Sądu Rejonowego w Białymstoku, aby przeczytać akta sprawy. Sprawa dotyczyła podziału spadku u drodzej liczący, a stroną w sprawie była matka Andrzeja, Helena L. Pomiećwał Helena L. ma 67 lat i choruje, napisała synowi pełnomocnictwo. Z nim to Andrzej L., pełen wiary w moc dokumentu i wiedzy, jaką był posiadł na studiach oraz w swej urzędniczej praktyce, udał się w charakterze interesanta do mieszkanca Lecha W. Tu należy się wyjaśnienie, dlaczego komornik IV Rewiru przyjmuje interesantów we własnym mieszkaniu przy ul. Ukosnej. Tego otóż nie wiem, ale za robienie z mieszkanca biura Lech W. pobiera służbowy dodatek.

Komornik przyjął interesanta, ale odmówił pokazania akt sprawy. Według jego uznania pełnomocnictwo Andrzeja L. nadawało się tylko na gódną do kiosku Sądu Rejonowego, który nie tylko posiada widok na pustym hufalnym, ale i prawo. Otóż pracowni Sądu jest wyznaczane pełnomocnictwem. Wyznaczanie pełnomocnictwem swego syna przez matkę jest według tego prawa bezprawem. Tak pomyślny Andrzej L. wrócił do domu, poprosił matkę o oddanie się wyjątkowo i u danie Ukosną. Andrzej L. robił to wszystko w dobrej wierze, choć matka staniała się na nogach i miała kłopoty z nalożeniem kosieli. Andrzej L. wierzył mianowicie w principia urzędniczego zawodu, dzięki przestrzeganiu których sam jadł chleb z masłem. Poza tym życie zawodowe i studia nauczyły go rzetelności wobec swych obowiązków, a zatem i petentów, zaufał więc koleżce urzędniczej, który uznał za konieczne przetransportowanie do schorowanej kobiety w celu identyfikacji.

Na widok kobiety-strony w sprawie, komornik okazał jej synowi akta, choć nadal odmawiał przyjęcia odczuwania pełnomocnictwa, po czym wskazał Andrzejowi L. krzesło, a je-

go matkę przedpokój i ścianę, o którą mogła by się oprzeć. Co też kobieta skwapliwie uczyniła, bo staniała się na nogach. Andrzej L. został w gabinecie, ale zanim począł przeglądać akta poprosił Lecha W. o krzesło dla swej matki. Prośba nie została załatwiona pozytywnie, wobec czego Helena L. usiadła na podłodze i przesiadła na niej jedną godzinę, w czasie której syn Andrzej załatwiał jej sprawę z komornikiem Lechem W.

Wygadano to tak: Andrzej L. kucnął przy krześle, na którym przegladano akta i notował. W tym czasie komornik Lech W. siedział za swoim biurkiem prowadząc przez uchylone drzwi ożywioną konwersację z Heleną L., rozciągniętą na podłodze. Andrzej L. zauważył, jakoby ta rozmowa dostarczała Lechowi W. szczególnej satysfakcji. Komornik nie mógł sobie odmówić także przyjemności deklamowania i okazywania łaski. Deklamował zdanie „prezesa Sądu Rejonowego też nie odstępował panu swego biurka na przegladanie papierów” oraz przypomniał petentowi Andrzeja L., że udzielano mu właśnie odpowiedzi są aktem jego dobrej woli i łaskawości. Komornik mianowicie reprezentuje nie było kogo a Sąd Rejonowy w mieście wojewódzkim Białymstoku i odpowiadać może wtedy, gdy mu się spodoba, a nie wtedy, gdy go było kto zapyta. Nawet 25 marca, czyli w dzień przyjęć tzw. interesantów.

Po powrocie do domu Andrzej L. przemyslał całą sprawę i doszedł do wniosku, że jego obywatelskim obowiązkiem jest zareagowanie na jawne lekceważenie obywateli petentów przez obywatela komornika oraz „Jaone chamstwo i brak kultury” wyżej zapisanego. Nigdy przedtem w uczciwej głowie urzędnika Andrzeja L. nie zalegało się pojęcie, że ktokolwiek w tym kraju, uczyniony przez władze instrumentem manipulowania losami bliźnich, tudzież kłamięką spinającą urząd z obywatelami, może się okazać takim urzędnikiem bez sumienia.

Andrzej L. przeżył więc szok utraty wiary i w odruchu obywatelskiej samoobrony chycił za pióró, by prosić redakcję o interwencję, aby — jak pisał — artykuł był o ostrzeżeniu dla niektórych urzędników, którzy uważają, że nie urządził jest służby obywatela, lecz obywateli uniożym służby urzędu”.

Redakcja ostrzeża więc urzędy, a u nich niektórych urzędników, że nie wszystkich petentów należy rzucać na kolana, bo można trafić na ateistę i będzie kłopot.

MAREK KUSIBA

Rozmowę prowadził ANDRZEJ GAWĘDZI

c.d. ze str. 1

łożonemu, który ma obsesję na punkcie własnej osoby.

Kiedy dowiedziałem się, że dyrektor odpowiada, iż chciałem go naciągnąć na jakąś tam nagrodę, która mi się nie należała, że narobiłem nadużyć i uciekiem z przedsiębiorstwa, i że jestem poważnie chory, bo mam guza w głowie, zagroził mi we mnie asfalt. Napisałem do Departamentu Doskonalenia Kadr Ministerstwa Pracy, Plac i Spraw Socjalnych, skąd mój wniosek wraz z otrzymaną interpretacją przepisów skierowano do Terenowej Komisji Rozjemczej. Dyrektor nie mając argumentów, ani wpływu na treść wyroku, próbował przedstawić mnie jako nieroba, bułmianta, cwaniaka wiecznie korzystającego z ulg, urlopów i innych udogodnień, jako marnotrawnego syna.

Orzeczenie Terenowej Komisji Rozjemczej brzmiało następująco: „Zarządza się od strony pozwanej na rzecz powoda kwotę 3,275 zł stanowiącą nagrodę z tytułu ukończenia studiów (obliczona jako jednomiesięczne wynagrodzenie). Komisja uznaje, iż wnioskodawca spełnia określone przepisanymi wymogi do otrzymania przedmiotowej nagrody pieniężnej”.

Przyszły refleksje: czy to jest moje zwycięstwo? Czy mój ojciec zginął na wojnie dla

takich jak on? Czy moja matka chowała mnie po to, bym nabierał wody w usta wobec takich jak on? Asfalt zagroził mi we mnie po raz drugi. Ale był to asfalt klarowny. W sam raz do wylania na drogę do szybkiego zakończenia jego kariery. Jego dyrektorskiej kariery. W jednym momencie dojrzałem we mnie świadomość, że taki ktoś może bezkarnie zniszczyć paru następnych.

Podpisując się pełnym imieniem i nazwiskiem napisałem do odpowiednich władz takie oto pismo:

„Jako były główny mechanik, przewodniczący Rady Zakładowej i członek egzekutywy podstawowej organizacji, pragnę podzielić się swoimi obserwacjami sytuacji gospodarczej spółdzielni, roli samorządu w życiu zakładu, jak również etyki zawodowej i moralnej kierownictwa. Swoje wnioski i spostrzeżenia przekazuję li tylko z obywatelskiego obowiązku, gdyż z tego zakładu odszedłem na własną prośbę. A decyzję tę podjąłem wskutek wielu okoliczności budzących we mnie odrazę i niechęć. Przedsiębiorstwo — to prywatne poletko dyrektora, piastującego to stanowisko od lat 30-tu. Jest to argument najmłodszy nawet dla najodważniejszego kontrolera, a co dopiero dla zapracowanych ludzi. Nikogo jednak fakt ten oraz wszelkie inne zasługi, ordery i tytuły nie upoważnia do traktowania swego stanowiska jako synkury. Dyrektor natomiast

pracuje na półtora etatu, pobiera łączne wynagrodzenie w granicach 12 tys. zł, dodatek za prowadzenie biblioteki, dodatek za prowadzenie spraw wynalazczości, skrajnie gromadząc bazę do emerytury, a odwiedzając zakład 2 do 3 razy w tygodniu.

Żyć gospodarcze i społeczne w zakładzie jest ustawione pod kątem osoby dyrektora. Już na portierni I punktu regu-

laminu dla strażników brzmiały: „Przewodniczący Rady Zakładowej i członek egzekutywy podstawowej organizacji, pragnę podzielić się swoimi obserwacjami sytuacji gospodarczej spółdzielni, roli samorządu w życiu zakładu, jak również etyki zawodowej i moralnej kierownictwa. Swoje wnioski i spostrzeżenia przekazuję li tylko z obywatelskiego obowiązku, gdyż z tego zakładu odszedłem na własną prośbę. A decyzję tę podjąłem wskutek wielu okoliczności budzących we mnie odrazę i niechęć. Przedsiębiorstwo — to prywatne poletko dyrektora, piastującego to stanowisko od lat 30-tu. Jest to argument najmłodszy nawet dla najodważniejszego kontrolera, a co dopiero dla zapracowanych ludzi. Nikogo jednak fakt ten oraz wszelkie inne zasługi, ordery i tytuły nie upoważnia do traktowania swego stanowiska jako synkury. Dyrektor natomiast

przebiegał kontrolować wszystkie pojazdy za wyjątkiem dyrektorskiego. Na każde zawołanie dyrektora w pracy i w domu gotowi są zawsze dwaj pracownicy (D.S. i G.J.) nie mówią o potrzebach dorywczych, przy których zatrudniony jest nie raz cały warsztat (np. budowa garażu). Dyrektor tolekuje je, skutecznie zresztą, wszelkie przejawy rozpowszechniania wynalazczości pracowników, jeżeli nie jest zainteresowany wnioskiem jako współautor. Oto niektóre fakty zasługujące na szczególnie napiętnowanie:

wa ujemnie na rozwój szeregu partyjnych i ZSMP, utrudniając od 2 lat szkolenia partyjne (rzekomo z uwagi na brak podstaw do opłacania lektorów). Nie akceptuje zresztą i innych szkoleń, np. obsługi dźwigu, którym jeżdżą, na szczęcie bez wypadku, osoby nieuprawnione. Torpeduje, skutecznie zresztą, wszelkie przejawy rozpowszechniania wynalazczości pracowników, jeżeli nie jest zainteresowany wnioskiem jako współautor. Oto niektóre fakty zasługujące na szczególnie napiętnowanie:

Roczne plany produkcji zakładu wzrastają fikcyjnie, tzn.

wzrost produkcji w mln zł nie wynika ze wzrostu ilości produkcji lecz ze wzrostu cen wyrobów, szczególnie tych z importowanymi częściami. Cenę wyrobów naciągane są sztucznie przez: wystawianie do kalkulacji przedsięwzięcia (bardzo drogie), a szyle się w poważnym procencie z pracy krajowej; zawyżanie kosztu matrycy i oprzyrządowania przez skracanie ich żywotności

Dyrekcja zatuzowała sprawę wyrobów na sekcji połączonych mechanizmów, który to temat realizowany był w ramach posrepu technicznego. Kosztowało to kilkadziesiąt tysięcy złotych, ale to przecież na emeryturę faktycznego autora pomysłu. Temat spadł z planu. W międzyczasie zakład jest kilkakrotnie spłakany z serii prób montażu dalszych serii, około 500 elementów, około 2500 silniczków wartości około

Sobiepanek

Białystok wzbogacił się o jeszcze jedną galerię sztuki. Jeśli nie liczyć galerii muzealnych oraz salonów, gdzie prezentowane są stale te same zbiory, jest to siódma galeria zapowiadająca systematyczne prezentowanie sztuki współczesnej. Po salonach BWA, dwóch galeriach handlowych (PSP i Artu), jednej galerii studenckiej, jednej fotograficznej i galerii w baszcie Pałacu Branicznych, gdzie kontekstualna awangarda współżyje od czasu do czasu ze sztuką ludową oraz amatorami, przysła kolej na otwarcie Galerii Młodych.

Póki co, galeria mieści się w czytelni Empiku, co jest rozwiązaniem bardziej optymistycznym niż optymalnym, choćby z powodu mnogości funkcji klubowego wnętrza. Od gospodarzy galerii

zależy, czy uda się do nawyków starych bywalców Klubu podłączyć nawyk obcowania ze sztuką, czy Klub zdoła zbudować nową publiczność. Po stronie galerii jest artystyczna młodzież przywołana w nazwie

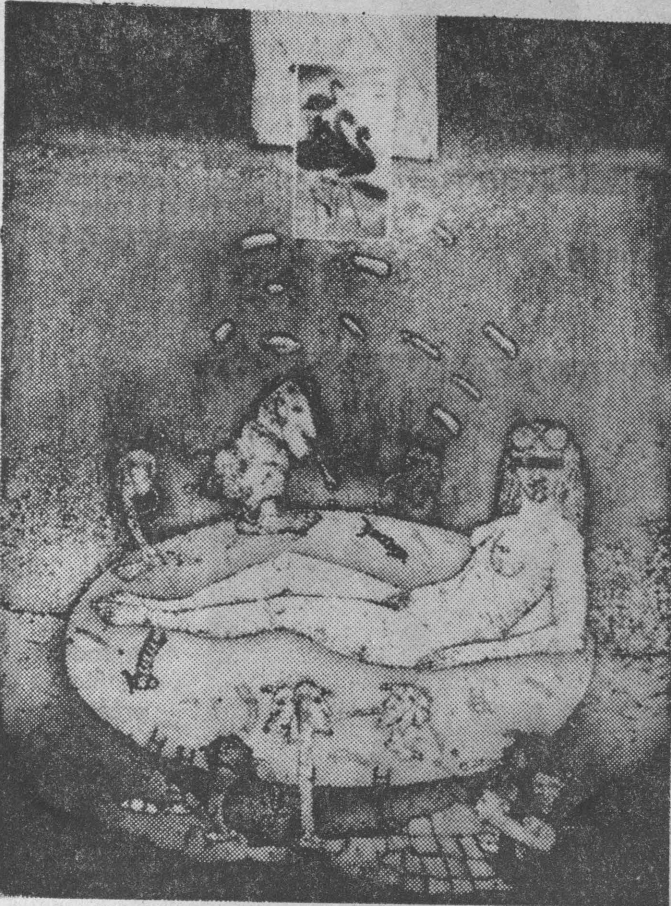
galerii, po stronie przeciwniej — skądinąd dobrze znany fakt, że żywot galerii instalowanych katem bywa zazwyczaj trudny i krótki.

Program galerii jest tyleż prosty co pojemny — młodzi będą wystawiać młodych. Galeria nie opowiada się za żadnym z kierunków, nie będzie lansować określonej tendencji, ani wybranych postaw, po prostu wernisaże w Empiku będą projekcją tego, czym żyje, co przedstawia, z czym się zmagają sztuka robiona przez ludzi młodych. Jedynym kryterium doboru autorów będzie kryterium jakości, przy

czym wystawy w galeriach stołecznych „Remont” i „Krzywe koło” są autorami akcji plastycznych takich jak ubiegłoroczny „Sen Polaka”, realizowany na Dworcu Centralnym w Warszawie — nie jest to więc odkrycie białostockiej Galerii Młodych — ale była to wystawa dobrze wprowadzająca widza w krąg zainteresowań najmłodszej generacji grafików.

Uderzająca na tej wystawie jest pieczołowitość, a przy tym powściągliwość warsztatowa członków grupy. Młodzi graficy chętnie posługują się starymi technikami, zali-

W krzywym lustrze



Ludziki z okwafort Andrzeja Kaliny przypominają bardziej robaki, niż gatunek homo sapiens.

czym nie ma znaczenia czy będzie to artysta z legitymacją, czyli członek Związku Polskich Artystów Plastyków, student czy samouk, byleby miał coś do zaoferowania jako malarz czy grafik.

W praktyce oznacza to, że galeria będzie wystawiała to, co jej kierownik Józef Zdzich uzna za godne wystawienia. Będzie to zatem galeria autorska, a praktyka uczy, że właśnie takie galerie bywają najciekawsze. Galeria będzie miejscem ułatwionego startu; może być miejscem debiutu, który wstrząśnie akademiami i krytyką, zawiadnie wyobraźnię widzów, ale może też być miejscem dosyć nudnych przeglądów prac studenckich, takich np. jakimi raczono nas przez parę ostatnich WAKS-ów. Trudno w tej chwili bawić się w proroka, zwłaszcza że hasło: wystawiamy sztukę dobrą i młodą, to nie hasło, ale tylko hasło.

Start Galerii Młodych wystawą trzyosobowej grupy grafików „Warsztat” jest obcy. Wprawdzie studenci V roku warszawskiej ASP nie są debiutantami, mają za so-

czanymi przez koneserów do szlachetnych technik metalowych, takich jak akwaforta i akwatinta, prezentując umiejętność przekonujące o ich poważnym stosunku do sztuki, której finalnym produktem jest dobrze zrobiony przedmiot, w tym przypadku — płyta graficzna. Nie uciekając się do specjalnych efektów, podporządkowani klasycznym regułom rytowania, pokazują oblicze twórcy skupionego, z namysłem wykonującego swój zawód artysty grafika.

Nie chciałbym tu chwalić młodych twórców z pozycji belferskich, że niby tacy młodzi, a grzecznie bawią się akwatintą, lecz po prostu odnotować, że członkowie grupy „Warsztat” znają się na robocie.

Treści, jakie pierwsi autorzy mają do przekazania widzom z rąsajką Galerii Młodych, są również poważne, jak ich stosunek do warsztatu. Najogólniej mówiąc są to grafiki, które podejmują również częste, co niewyczerpany temat człowieka. Młodzi twórcy są tak poważni, że ich sztuka sprawia momentami wrażenie rozpraw, czasem zbyt



Andrzej Dworakowski bohaterem swoich grafik każe się nurzać w miskach klozetowych, kręcić na patyku, ślinić na widok biletu Banku Narodowego.

zgeszczonych, jakby przyciętych od nadmiaru powagi, zbyt natarczywych z powodu braku dystansu.

Najbardziej dosadnym komentatorem rodzaju ludzkiego jest Andrzej Dworakowski, którego grafiki roją się od potworków i kukieł, którym autor każe się nurzać w klozetowych miskach, kręcić w kółko na patyku, ślinić z pożądania na widok biletu Banku Narodowego, walczyć wielogłęboko uszu lub po prostu wywalać w stronę widza język. Młody grafik nie oszczędza człowieka, nie bawi się w subtelność — najwidoczniej bardzo wierzy w artystyczne oczyszczenie człowieka w krzywym zwierciadle sztuki.

Nie inaczej dzieje się w grafice Andrzeja Kaliny, który chętnie zderza symbole wielkich kultur i cywilizacji z karykaturalnym ludzkiem przypominającym bardziej robaka niż gatunek homo sapiens. To

również obraz daleki od optymistycznej wersji człowieka, ale jeśli Dworakowski jest od początku do końca bezpardonowym krytykiem, to Kalini towarzyszy jakby rodzaj zdziwienia, z powodu równoczesnego istnienia zjawisk tak odległych jak „narodziny Wenus” Boticello i przyległa krzątanina ludzkich.

Z trójki „Warsztatowców” najmniej dosadnym, choć również zaskakującym o los ludzki, zdaje się być Marek Jaromski. Swoje przemyslenia na temat człowieka przekazuje w formie metafory. Jego świat, to świat w którym dominuje poczucie nieuchronności losu, coś na kształt baśniowego fatum, którego wykonawcami bywają odrealnione stwory.

Wizerunek człowieka w wersji grupy „Warsztat” nie jest wesoły, budzi niepokój, a nawet sprzeciw. I o to mniej więcej chodzi.

ANDRZEJ KOZIARA

KLUB MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻKI

MOJA BIBLIOTEKA

Literatura radziecka

Sytuacja, w jakiej znalazła się na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych literatura radziecka, spowodowała szerokie zainteresowanie czytelników nie tylko w ZSRR. Wówczas to pojawiło się sporo młodych pisarzy, którzy potrafiliby zupełnie inaczej spojrzeć na skomplikowaną sytuację w kraju. Minął czas powieści i dramatu produkcyjnego, skomponowanych w następnych latach przez krytykę literacką, pojawiło się natomiast szersze spojrzenie na rzeczywistość, która nie zawsze okazywała się różowa. Szersze zainteresowanie problematyką jednostki ludzkiej, psychologizm, odważne dostrzeganie konfliktów międzyludzkich i spraw produkcyjnych, spowodowało, że literatura tej zaczęła szerzej przyglądać się światu. Jednocześnie wzrosły wymagania krytyki, pojawiać się zaczęło więcej tłumaczeń.

Najważniejsze nurty we współczesnej literaturze radzieckiej reprezentuje już w tej chwili spora liczba znanych i słynnych pisarzy, których debiuty przypadają właśnie na początek lat sześćdziesiątych. Dzięki tzw. pokoleniu frontowemu narodziła się nowa powieść batalistyczna, bardzo młody jest nurt wiejski, coraz częściej do głosu dochodzi problematyka dnia dzisiejszego ze szczególnym uwzględnieniem aspektów etycznych. Są to głównie, najbardziej popularne nurty, gdyż wszystkich wymienić nie sposób. Czytelnik polski otrzymuje coraz więcej pozycji godnych zainteresowania, głosne są takie nazwiska, jak Szukszyn czy Rasputin. Niestety, nie wszystkie pozycje, a jest ich przecież mnóstwo, trafiają do rąk tłumaczy. Nie zawsze też wielkość nakładu jest w stanie zaspokoić potrzeby czytelnika.

W Polsce odbywają się obecnie Dni Kultury Radzieckiej obfitujące w wiele wydarzeń wielkiej rangi, do których można również zaliczyć spotkania z przedstawicielami literatury. Z tej okazji uczestnikom akcji „Moja Biblioteka” proponujemy cztery książki autorów radzieckich. Każda z nich reprezentuje inny typ literatury. Dwie z nich to literatura piękna, zbiór esejów literackich jako teoretyczne uzupełnienie beletryzacji oraz jedno opracowanie naukowe, dotyczące kultury.

Walentyn Katajew: Święta studnia. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1979 r., s. 142, zł. 25.

Walentyn Katajew zyskał sobie największą popularność jako autor powieści „Samotny biały żagiel”, przetłumaczonej na wiele języków i sfilmowanej. Jego oryginalna twórczość tworzy barwną kronikę współczesnych dzieł Związku Radzieckiego. „Święta studnia” to mądra, refleksyjna powieść, której bohaterem jest sam autor. Pisał ją w Piesiedle, przy małym źródle, stąd tytuł książki. Powieść ta nie ma fabuły w tradycyjnym tego słowa rozumieniu. Jest to raczej pełna refleksji, zadumy nad światem, nad życiem i śmiercią, nad sumą doświadczeń mądrego człowieka. Dlatego też nie można tej książki czytać w taki sposób, jak to jest z tradycyjną powieścią, posiadającą wyraźny bohater, akcję, konkretny wymiar czasu. Przez karty tej powieści przewijają się abstrakcyjne motywy, niczym krótkie kadry telewizyjnego reportażu migają konkretne, znane z najnowszej historii wydarzenia, jak chociażby wizja zamachu na prezydenta Kennedy'ego. Z tych to wszystkich powodów „Święta studnia” trzeba czytać bardzo uważnie, by nie uronić z tej lektury tego, co najważniejsze: odczucia złozonej rzeczywistości, dokonanej przez pisarza.

W poszukiwaniu syntez. Antologia radzieckiej esejów literackich. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1979 r., s. 485, zł. 90.

Zainteresowanie radziecką literaturą piękna wzrasta u nas z każdą nową przetłumaczoną książką współczesnych pisarzy. Brakuje jednak dokładniejszych informacji zarówno o samych autorach, jak i nurtach w tej literaturze. Antologia radzieckiej esejów literackich likwiduje zatem obydwie te luki. Zgromadzone tutaj szkice o rosyjskiej prozie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a więc tego okresu, który po przełomie w latach pięćdziesiątych, zao-wocował już wieloma dojrzałymi, interesującymi pozycjami. Artykuły zamieszczone w zbiorze pochodzą przeważnie z pism literackich, nieliczne tylko są fragmentami opracowań książkowych. Najbardziej charakterystycznym okazuje się tu „oboz”, czyli przegląd tego, co dzieje się w obrębie jednego gatunku lub nurtu. Część esejów dotyczy wielkich indywidualności pisarskich, takich jak: Wasilij Szukszyn, Jurij Bondariew, Wiktor Astasiew czy Walentin Rasputin. Zbiór jest doskonałym uzupełnieniem każdej kolekcji współczesnej literatury radzieckiej.

Włodzimierz Mirniew: Przełom czasu. Książka i Wiedza. Warszawa 1980 r., str. 440, zł. 55.

Jest to pierwsza książka młodego pisarza radzieckiego, która została udostępniona czytelnikowi polskiemu. Włodzimierz Mirniew jest już natomiast autorem czterech tomów prozy. „Przełom czasu” to zbiór współczesnych opowiadań, rozgrywających się przede wszystkim w małych skupiskach ludzkich. Mirniew nie ma jakiejś określonej, ulubionej tematyki. Jego opowiadania o ludziach tworzą szeroki wachlarz problemów i zdarzeń. Na charakter twórczości tego pisarza niewątpliwie wpływ miało jego życie. Jak wielu kolegów po piórze pracował w różnych zawodach i w różnych regionach kraju. Był nauczycielem, kierownikiem (vide: opowiadanie „Skaliste wlechy”), kierowcą, wreszcie doświadczenie życiowe pozwala Mirniewowi kreślić interesujące sylwetki i sytuacje psychologiczne, stwarzające zaskakujące, ale realne punkty. Ale przede wszystkim najciekawsza jest tutaj twórczość tego pisarza niewątpliwie fabularnych.

Piotr Bogatyriew: Semiotyka kultury ludowej. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1979 r., s. 367, zł. 60.

Zmarły przed dziesięciu laty wybitny radziecki etnograf, folklorysta i językoznawca w jednej osobie, był twórcą nowej metody badania kultury ludowej. Proponowany zbiór zawiera kilkanaście obszernych artykułów, analizujących szczegółowo wybrane elementy folkloru krajów słowiańskich. Bogatyriew wychodzi z założenia, iż przedmioty, sposoby zachowania, język obyczajowy spełniają w danym środowisku określone funkcje. I właśnie rozumienie

J.G.

Dziadowski koniec świata

kingi, co tydzień chodzi do łazienki, a do ludzi — ubiera lachy. Bo dziad musi być łachmaniarzem, inaczej nawet wiejskie psy nie zechcą go obczekać.

— Nie wierz pan w te skarby — zaprotestował. — Ludzie na darmo strzępią języki. Jestem biedny i samotny, na łasce i niełascie żyję.

— Nie próbował pan podjąć normalnej pracy, zarobić na siebie? — Ten uśmiechnął się z politowaniem. — Czy te ręce stworzone zostały do pracy? Ale pracować próbowałem, kiedyś pomagałem owieczki paść, drzewo rąbałem... A to co? — skierował swój wzrok na butelkę z pepsi-colą.

— Do picia. — Podsunął swoją szklankę i wychylił duszkiem. — Dobra — pochwalił. — Dobra — mówił — amerykańska. — No to jeszcze... Skończył jeść kiełbasę, resztę schował do torby, swobodnie splunął na podłogę. — A która godzina? — zapytał, jakby mu się spieszyło.

— Jedenasta. — Jedenasta i jeszcze nie w pracy? — zdziwił się. Znaczący jakiś wyszyi dyrektora. No to zostało panu osiemnaście miesięcy życia.

— Jak to osiemnaście? — Potem będzie wielka wojna i koniec świata. Takich jak pan wywieszają! Zmienić się wszystko na tym padole. Cóż z tego, że teraz każdy trzyma się życia, grzeszy, kradnie, cudzołóży, kiedy człowiek nie ma pożywienia. Po wielkiej zawierusze niewiele ocala; życie też będzie niczym, ale za to człowiek stanie się wielką wartością. — Skąd pan to wie? — A tak sam z siebie. Ja wiem wszystko, więcej niż wy — wszystkie mądre. Wiem także, że jeszcze będę bogaty. No bo tak: zacznie się wojna, wszyscy pójdzie na front, na pewno was ukatrupią. A ja wtedy przysunę się do najbogatszej baby...

Jeszcze wypił szklankę wody sodowej, zrobił na pierś krzyż. Potem rozległo się stukanie do drzwi sąsiada, potem piętro wyżej, i jeszcze wyżej. Nie zostało mu otworzone, bo ludzie poszli harować, aby za osiemnaście miesięcy uniknąć dyndania na wietrze.

K. SIEMIENIAKO

100 tys. złotych, opakowania, kalkulowania z importu, matryce do produkcji elementów metalowych oraz matryce wtryskowe na elementy z tworzyw sztucznych, a także dokumentacja techniczna na matryce wtryskowe nie zrealizowano do tej pory.

Wartość całego zamrożonego przedsięwzięcia około 800 tys. zł. A dyrektor tłumaczy się: „jest to pierwsze potknię-

czące zapasów surowców. Tak było w roku ubiegłym i tak jest obecnie. Mechanizm działania w czasie kontroli z zewnątrz jest prosty — podkłada się podrobione egzemplarze kartotek. W ten sposób wyprowadzono w pole niejednego kontrolera, a w tym roku wykazano tonę polietyleny, podczas gdy stan faktyczny zapasu wynosił około 15 ton.

Niektóre poczynania inwestycyjne są kontrowersyjne. I tak: w roku 1977/78 wydane blisko 160 tys. zł na wybetonowanie (20 cm warstwa) placu za budynkiem produkcyjnym, rzekomo pod projektowany magazyn, po to by postawić na tym placu pięć blaszanych garaży za około 140 tys. złotych.

Dyrektor nie panuje nad sytuacją gospodarczą zakładu, o czym świadczy: przekroczenie funduszu plac w nakładach; konieczność odprowadzenia do banku nieprawidłowych nadwyżek finansowych; nierytmiczna realizacja i ciągłe zagrożenie planów produkcyjnych; stagnacja w zakresie wzornictwa i wdrażania nowych wzorów do produkcji.

Każde z zebrań, których byłem uczestnikiem, na dobrą prawę nie posiada wymagań quorum. Na zebranie przychodzi na wszystkie wypadek wszyscy: członkowie i nie członkowie, i głoszą też wszyscy

scy. Do I rzędów wybiera się najmłodszych, rozdaje zakupione białe bluzki i czerwone krawaty. W dyskusji zabierają głos ci, co dostali od dyrektora kartki z tekstem do wyuczenia. Nastawienie z góry osoby w odpowiednich momentach prowokuje oklaski. Na dobrą sprawę to protokół z zebrania można by napisać tydzień wcześniej.

Prasa pisze, że wciąż zbyt mało uwagi zwracamy na ludzi uprawiających działalność pozorną, kierujących się zasadami, że wszystko co złe powinno zostać tajemnicą przedsiębiorstwa, a za bramę winno wychodzić samo dobre.

Według mnie i nie tylko reszta, upiększanie rzeczywistości w zakładzie przez podkreślenie sukcesów i przemilczanie niepowodzeń należy wypieścić. Tow. Edward Gierzek wielokrotnie podkreślał, że obowiązkiem naszym jest stawianie szczególnie wysokich wymagań kadry kierowniczej, i że pełniona funkcja nie może być okazją do osobistego urzędowania się i do różnego typu nadużyć, gdyż nie godzi się to ze społecznym poczuciem sprawiedliwości.

Ja na swoją Polskę patrzę ciepło i ufnie. Jak na matkę. Patrzę też okragłymi oczami, szeroko otwartymi oczami dziecka, bo dziwi mnie wciąż, że w tej mojej Polsce najlepiej, najwygodniej, najłatwiej żyje się średniakom. Z dnia na dzień. Bez narzą-

nia się, wykorzystując po ciachu każdą okazję wyłączenia dla własnych potrzeb. Ale to nie jest sól życia.

Ja stawiam na rodzinie. Oczywiście, że nie jest nam lekko. Ale mamy wypielone szczęście całe mieszkanki. Z każdego kąta wygląda troska i serdeczność. I przywiązanie. Nasze dzieci, mają wspaniałą matkę. I są bardzo przez nas kochane. Kochamy je miłością bardzo prostą. Wymagamy i jeszcze raz wymagamy od nich. Jest to najlepsza miłość rodzicielska. Dzieci muszą być traktowane poważnie. Z przyswojenymi zdolnościami manualnymi, opanowaną umiejętnością organizowania sobie każdego zajęcia, pokochają kiedyś swoją pracę i będą się odnosić do tej pracy z należytym szacunkiem. Nasze dzieci biorą czynny udział we wszystkich obowiązkach domowych.

To nic, że w wyniku ich gospodarzenia jest stłuczony piękny talerz, złamany ulubiony kwiatek. Tylko wtedy, dzieci pojmują swój błąd, swoją nieuwagę. To prawda, że samemu wszystko idzie szybko, ale wtedy, gdy dzieci oglądają telewizję, słuchają stereo lub czykaniem czytają zakazane książki, a rodzice wokół zegara budują swój kruchy pomnik codzienności. Czy dzieci to docenia, jeśli nie spróbują same!

On, wielki dyrektor niepodważalny i nieomylny autorytet zakrzucił się. Po kilku

dnia kontroli uciekł na emeryturę. Nie zdążył nawet załatwić sobie wszystkich nagród i wypłat, które zwykłe na niego czekały. Parzył go ten mój asfalt. Nawet nie zdążył zorganizować sobie tego pożegnania z żoną, a pieniądze zebrane na ten cel wraz z listą zostały wyłapane i zdeponowane w kasie przez inspektora kontrolującego. Kontrola objęła jedynie okres 1976-78. Zyski nieprawdopodobnie wyniosły ponad 2,5 miliona zł. Struktura przedsiębiorstwa okazała się nieaktualna. Pracownicy przedsiębiorstwa przed inspektorem potwierdzili wszystkie zarzuty pod adresem dyrektora. Okazało się również, że formułowanie sprawozdań statystycznych było fałszowane.

Ciekawe po jakim czasie nowy dyrektor wypierze te wszystkie brudy? Ciekawe co zostanie spisane na straty przedsiębiorstwa z powodu braku winnych lub z przyczyn obiektywnych?

Oczekuję na wynik w nowej roli. W nowym przedsiębiorstwie, w innym klimacie, i środowisku po roku pracy otrzymałem awans. To utwierdziło mnie, że w życiu człowieka jest wystarczająco dużo miejsca dla rodziny, dla zakładu pracy i dla kraju. Te atuty te przedziej czy później muszą zwyciężyć, bo normalne życie nie cierpi totalnego fałszu.

ROMAN CZEKAJ

-pozorant

cie od 30 lat. W ostateczności spisujemy na straty. Nie jesteśmy w stanie podjąć tej produkcji. Sprawę musimy zatuzować, bo cały temat przejmie „P”, który ma odpowiedni park maszynowy i kwalifikowaną załogę, uruchomi produkcję i udowodni, że jest lepszy. Wtedy grozi nam łączenie, a resztę to już wiece. Szkoda tylko, że rekrutowano te zabawki w prasie, telewizji, na targach krajowych w Poznaniu, a także w katalogu”.

Na polecenie dyrektora fałszowane są formularze doty-

cyjne są kontrowersyjne. I tak: w roku 1977/78 wydane blisko 160 tys. zł na wybetonowanie (20 cm warstwa) placu za budynkiem produkcyjnym, rzekomo pod projektowany magazyn, po to by postawić na tym placu pięć blaszanych garaży za około 140 tys. złotych.

Wykorzystanie parku maszynowego sięga praktycznie 60 proc. mimo, że warsztat kierowany przez kol. J. zapewnienia pełną gotowość w tym zakresie. W sprawozdawczości czas pracy maszyn jest na ciągany i nie ma odzwierciedlenia w raportach akordowych pracowników obsługują-

ze cywilizacja europejska jest najlepsza. I teraz: połowa tych ogromnych pieniędzy z nafty szła na rozbudowę armii i policji, znaczna część na przesadne inwestycje, a trochę, ale też w sumie dużo, było rozkradane przez elity, albowiem reżim szacha był mocno skorpumpowany. Co miał z tego naród? Nie miał wiele, ponieważ nowoczesny handel i przemysłowa produkcja wieloseryjną podcięły drobny handel i drobne rzemiosło, z czego utrzymywała się duża część narodu. Rolnictwo natomiast nie otrzymywało żadnych pieniędzy na rozwój, choć było bardzo zacołane. Toteż naród szybko przekonał się, że ten cały program modernizacji Iranu podejmowany jest nie w jego interesie, lecz przeciwko narodowi, gdyż podcina źródła jego egzystencji.

— Po pewnym czasie miał przeciwko sobie także burżazję. Dał jej możliwości bogacenia się, lecz w najniższym stopniu nie chciał dzielić się z nią władzą. Wszelka działalność opozycyjna była bezsilnością i okrutnie tępiąca. Toteż nadzieje społeczeństwa na szybkie korzyści z ropy przerodziły się w rozczarowanie.

— Zgoda, Iracyńczycy czekali, obserwowali. I co oni wiedzieli? Wiedzieli, jak ich własny kraj staje się dla nich coraz bardziej obcą, a oni sami zaczynali czuć się jak cudzoziemcy. Nawet napisy na ulicach były angielskie, a w domach ludzi z elity rozmawiano się także po angielsku. Elita irańska, która powinna pełnić duchową rolę, wiecie, nie była z nami, nie była z ludem. Właśnie dlatego strzec jego interesów, europeizować się, wywołać reformy, straciła więź ze społeczeństwem i stała się rzecznikiem obcych wpływów.

— Tak, ponieważ nowy porządek ekonomiczny, a co za tym idzie — polityczny, budowany był przez Amerykanów i w oparciu o Stany Zjednoczone, które uzbierały armię, dostarczały towarów i nowoczesnej technologii. W obliczu amerykańskiej cywilizacji Irańczyk, ten chłop, drobnny handlarz czy też robotnik rekrutujący się z miejskiego plebsu czuł się, jak ktoś niższy, gorszy, mniej

wartościowy. Po pierwsze, uważany był za takiego przez miejscową elitę, które okazało się, że nie potrafi sprostać wymaganiom, które niesie nowa, czarna technologia. Ta nowa, niedzienna dla Iranu, czyżów sytuacja wywołała niedziennie, ekstremalne reakcje, cały ruch tak zwanych „burzycieli maszyn”

— Czy nie jest to czerpnięcie z Europy przeszłości? Czy nie w ubiegłym wieku...

— W Iranie polegało na czym innym. Maszyna nie był, jak u nas, przedmiot, który pozabawia człowieka pracy. Maszyna był symbol. Irańczyk nie miał jej obsługiwać, nie rozumiał jej tych wszystkich gzików, kółek. W zetknięciu z nią dowiadywał się, że jest niczym, że jest zafanowany, ciemny. Maszyna była więc instrumentem pokorzenia, ponieważ wobec niej Irańczyk czuł się zraniony w swej wewnętrznej godności i dumie.

Aby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że kultura Iranu

zyli jak dawniej mówiliśmy — perska, należy do najstarszych kultur świata i wywodzi się z pnia indoeuropejskiego. Jesteśmy Iraczykami spokrewnieni językowo i rasowo, z tym, że oni mają za sobą prawie trzy tysiące lat historii, podczas gdy państwa europejskie niewiele ponad tysiąc, a Ameryka — dwięście. Toteż Iraczyński nie ma żadnych powodów, by czuć się gorszym od Europejczyka, ale czuje się tak wtedy, gdy Europejczyk przychodzi do niego z odmienią kulturą i chce mu te kultury narzucić. Tym bardziej, że on sam o nią nie zabiegał, nie potrzebował jej, ponieważ wystarczała mu w zupełności jego własna kultura. A Iraczyński swoją kulturę doskonale znał.

Czy na przykład słyszał

umię, że rewolucja francuska wymierzona była głównie przeciw obecnej dominacji kulturowej?

— Tak, ponieważ ówczesna kultura oznaczała nie tyle pokorzenie. Oznaczała wynarodowienie, co widzieliśmy u Ińczyków, obserwując swoją elitę. Właśnie dlatego ta rewolucja tak bardzo niepokoiła świat. Jesteśmy w stanie zrozumieć sprzeciw wobec dominacji politycznej czy ekonomicznej. Ale dominacja kulturowa? Co do takiego jest? Czy naprawdę jest to coś na tyle niebezpiecznego, aby zarządzić rewolucję? To nam nie bardzo mieści się w głowie, bo jak to: czyż nasza kultura może być dla kogoś groźna?

— Właśnie. Dlaczego prasa zagraniczna pisze, że Iran powraca do średniowiecza?

— Bo temu, kto chce do-

czasem prawda jest taka, że czador to dla tych ubogich kobiet zbawienie, to jedyny strój, który umożliwiła im wyjście na ulicę czy odwiedzin znajomej. Po to, aby ubrać się po europejsku, trzeba mieć pieniądze. Trzeba kupić pończochy, pantofelki i te pończochy i pantofelki trzeba kupować często. Natomiast kłedy kobiety ubierze się w czador, nawet jeśli jest biedna, nie różni się od tej, która jest bogata. Czador przykrywa jej nógę i ona może pokazać się bez wstydu. Człowiek nie będzie jej biedę, Czador ratuje jej godność.

Jest jeszcze jedna sprawa. W warunkach klimatycznych Iranu, czador jest niezwykle praktyczny. Jest to szata luźna, która chłodzi podczas upału, ogrzewa

nie tylko przemysł, nowoczesna technologia. Za tym szedł pseudoeuropejski styl życia i cała ta bezwartościowa kultura masowa, robiąca z mózgow papkę, jak choćby trzeciordne filmy. To wszystko miało rozwalić ich tradycje i ich tradycyjne wartości duchowe, ponieważ dopóki ta tradycja była żywa, dopóty szach nie mógł nad narodem bez reszty zapanować nie mógł go zniewolić. Społeczeństwo przeżywało ten cały mechanizm, dlatego traktowało władzę jako obcą agenturę. Władza nie była wytworem tego narodu, była mu obca i nieprzynajmu. Godziła w jego tożsamość, w te wartości, które stanowiły o jego odrębności. I naród upokorzony i pozbawiony coraz bardziej swojej twarzy, w imię godności i niezawisłości obalił dyktaturę.

— Dynastia Pahlawich panowała w Iranie przeszło 50 lat.

— Od roku 1925, kiedy to ojciec Rezy Pahlawiego koronował się na szacha. To też rewolucja, w mniemaniu samych Irańczyków, wybuchła w ostatnim momencie. Oni już myśleli, że jako odrębny naród, jako odrębna wartość kulturowa zostaną zniszczeni.

— Mimo wszystko trudno mi zrozumieć to antyamerykańskie zaciętrzewienie Irańczyków.

— To nie jest zacietrze-
wienie, to jest rewolucja, a
każda rewolucja wyzwała
emocje, a więc skrajne reak-
cje. Aby zrozumieć sprawę
amerykańskich zakładników
znowu musimy odwołać się
do przedrewolucyjnej sy-
tuacji w Iranie. Nie chce,
aby z naszej rozmowy powstał
wywiad — rzeka, Dlatego
powiem w skrócie. Otóż
im bardziej szlachy wraz
z elitą oddalał się od naro-
du, tym bardziej szukał po-
pomocy w Ameryce. Tym
gwałtowniej wcielał swój
program i zbroił armię, al-
bowiem zdawało mu się, że
tym szybciej zapanuje nad
opornym narodem. Nic wię-
dźniwego, że panowanie szach-
a i to wreszcie, co on po-
bił łączyło się w świadomości
Iranczyków z Ame-
ryką. W Teheranie jest
przecież 120 ambasad, a
studenci wybrali tylko jed-
ną — amerykańską. Dlaczego?
— Nietrudno zrozumieć.
Wybrali tę, która objęła
się wszystkim i jako domi-
nacja, z obcą władzą nad
ich krajem.

— Czy można już teraz przewidzieć konsekwencje rewolucji irańskiej? Dla świata, dla nas?

— Mustelibyśmy rozmawiać o tym znówu kilka godzin, a jeśli powiem wszystko w tym wywiadzie, nie będę miał o czym mówić na spotkaniu z czytelnikami. Dlatego powrócę do sprawy zrozumienia rewolucji irańskiej, jest to bowiem bardzo ważne i potrzebne. Pana pytania uświadomiły mi, że choć wszyscy czytają gazety i oglądają telewizję, nie zawsze pojmują sens tego wszystkiego, co się w Iranie dzieje. Dlatego trzeba o tym dużo mówić i pisać, a właśnie ten reportaż jest doskonałym instrumentem objaśniania świata, budowania postomów pomiędzy odrębnymi kulturami. My podchodzimy do rewolucji irańskiej emocjonalnie, a dlatego, starałem się wcześniej o tym powiedzieć. Tymczasem postawa emocjonalna blokuje kanały komunikacji, blokuje dialog. A jeśli nie będziemy rozmawiać, nie będziemy się rozumieć.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
ANDRZEJ W.
PAWLUCZUK

„A ludowe pioseneczki...”



Kapela „Kurpie” z Kadzidła.

Piąty międzywojewódzki przegląd kapel, solistów i gawędziarzy ludowych odbył się przed tygodniem w kolneńskim Domu Kultury. Popularyzowanie kultury ludowej, szukanie i kultywowanie autentyku w muzyce i śpiewie — oto podstawowe cele tej imprezy.

Tym razem zjechało do Kolna 129 zespołów i solistów z województw: białostockiego, łomżyńskiego, suwalskiego, ostrołęckiego i olsztyńskiego. Wśród uczestników — wielu młodych artystów, (najmłodsza — Alina Bogdańska z Olszyny k. Myszyńca. Ma dopiero jedenaście lat). Obok młodej Kurpianki podobala się bardzo 67-letnia Paulina Adamska z Białostocka.



Najmłodsza
uczestniczka
przeglądu
— Alina
Bogdańska.

Niedziela przyjaźni

W ramach Dni Kultury Radzieckiej MDK w Bydgoszczy przygotowało na 21 października cykl imprez pod nazwą „Niedziela przy jaźni”. I tak o godz. 11 rozpoczęła się przy ul. Kawalerskiej 38 kinogroteka dla widzów ze szkół średnich. Tęże o godz. 11:45 aktorzy z Teatru im. Jaracza w Olsztynie zaprezentują spektakl „Spowiedź chuligana” według Sergiusza Jesienina. Spektakl zostanie powtórzony o godz. 18 w klubie „Promenada”. W filii MDK przy ul. Bema zaplanowano spotkanie z kombatantami wieczór ballad Bułata Okudżawy w wykonaniu Teatru im. Wojciecha Kosińskiego z Teatru im. Węgierskich (początek o godz. 18). Przy ul. Doliwostkiej o godz. 17 wystąpi o godz. 17 Teatr Poezji „Pro”, kierowany przez Jerzego Siecha, który zaprezentuje spektakl wykorzystujący wiersze Aleksandra Błoka. W Starosielcach, w filii MDK przy ul. Obóznej, Zenon Jakubiec z Teatru im. Węgierskich wystąpi o godz. 17 z programem zmontowanym z wierszy i ballad rosyjskich i radzieckich. (Jolanta)

Przegląd Orkiestr Detych

W sobotę i niedzielę odbędzie się w Białymostku rejonowy przegląd XX Ogólnopolskiego Festiwalu Młodzieżowych Orkiestr Dętych — Innowrocław 80. W imprezie wezmą udział 11 szkolnych zespołów i wojewódznych, 26 kwietnia godz. 10 na stadionie „Jagiellonii” przy ul. Brodzieckiej można będzie oglądać pokaz muzyki paradynej (w razie niepogody impreza przeniesiona zostanie do sali sportowej).

Szkoly Podstawowej nr 9 przy ul. Sucheja 2. W tym samym dniu o godz. 13.30 odbędzie się przegląd Orkiestr w sali Państwowej Filharmonii. Natomiast koncert galowego z udziałem laureatów można będzie wysłuchać w niedzielę w

STANISŁAW OLEDZKI

Wykłady powszechne Zamiast wykładu

S tanem krytyki zajmowałem się w „Wykładach powszechnych” dwukrotnie; w tekście pt. „Co jest grane” zapisałem kilka domysłów w sprawie krytyki teatralnej, w tekście opublikowanym przed dwoma tygodniami sformułowałem kilka twierdzeń i kilka aluzji w sprawie krytyki muzycznej. Oczywiście, że problem nie interesuje mnie w wymiarach ogólnopolskich; interesuje mnie tylko w odniesieniu do sytuacji w Białymstoku, chociaż — jak okazało się na Sesji Klubu Krytyki Teatralnej w Białowieży — to, co dzieje się w Białymstoku i okolicach — dzieje się także w wielu innych miastach w kraju.

Nim oddam głos Stanisławowi Oledzkiemu, który polemizuje z niektórymi sformułowaniami mojego tekstu i uściśla zawarte w nim informacje – kilka słów wstępu. Otóż od wielu miesięcy (a może i lat?) próbuję dociec, jakie to mechanizmy nie sprzyjają uprawianiu krytyki artystycznej w Białymostku. Pytanie jest tym ważniejsze, że do

rzędu prawd elementarnych należy twierdzić nie, iż skrupulatna, bezstronna i stała świadomość recenzencka nie tylko poszerza i pogłębia dialog pomiędzy twórcami kultury, a tystami i realizatorami zdarzeń artystycznych, ale — bez względu na trafność i prężność swoich ustaleń — niewątpliwie ożywia tw. klimat i stymuluje procesy rozwoju środowisk twórczych. Bywa też, że koryguje działalność poszczególnych twórców i dokonania twórców indywidualnych a zdarza się że takie dokonania wywołują Przecząłem na ten temat ogromnie wiele bardzo słusznych sformułowań w bardzo wielu słusznych dokumentach, z tym że te dokumenty prorokujące stany pożądane sobie a rzeczywistość — też sobie. Ponieważ więc w Krasnodolki przetrza mi już dawno, teraz wierę swoją opieram na uznanie sprawdzalnych faktów — oddaję głos St. Ledzkiemu, który posprawdzał moje domysły.

E. PIATKOWSKI

W kolejnym "Wykładzie po-
wieszczającym o publicystyce"
"Gazecie Wpółczesnej" (z 12-13)
kwietnia br., wspominał Pan
braku na tamach, że w prze-
biegu swego "koncertu symfo-
nicznych Białostokiej Filharmonii
w latach 1975-1980, Ponieważ
Pan dał mi możliwość wyrażenia
moją działalność publicystyczną
tego okresu — dla uzupełnienia
wykładu i w procesie reżetności
mojej działalności — w ramach
"umiennego badacza", wnieść mo-
że kilka sprostowań, uzupełnie-
nia i wyjaśnień.

W tym wykładzie ściele jest stru-
czenie, że "prasa o tym nie wie-
siała". Owszem, pisała; współpo-
ciągając z "Kontem" — w prze-
biegu swego "publikumem ko-
miesieczne recenzje koncertów i
recitali odbywających się w
Białostoku Filharmonii — w prze-
biegu swego "publikumem ko-
natomiast, że ostatnim odnotowa-
nym koncertem białostockiej fi-
lharmoników był koncert z 1980
w ramach konkursu "Muzycz-
nych (9 października 1977 r.),
zrecenzowanym nieco szerzej
program brahmsowski z 20 m.
1978 r.

Nie odpowiem wprost, dlaczego
od trzech lat nie pisze się
[„trudne”] i ciężkie
[„nie ma”] „monikonów”. Mówią
ściśle, nie pisze się w prasie
wychodzącej z Biłystoku, bo
ale o tym za chwilę. Przypadek
zawieszony, nie ma szansy
wych złożeń (pisze w liście
mnogiej, gdyż przez pewien okre-
szeniec publikowałem wyższe
z ramienia Biłystockiej „Gazety
o Radia — Romuńd” jółku
Otoż — tu już wyłączenie pisze o
siebie — podejmując niewdzię-
ne, jak się uokrótło nazywało
recenzent, założyłem sobie, i
orkestra, biłystocka zastrzyżu-
sua ponad dwudziestoletnią pra-
ca, suu pozyskała, suu
filharmonii, suu własną siedzibę
na powołne traktowanie. W

im przekonaniu poważnie traktowanie działalności artystycznej instytucji wyraża się głównie stosowaniem normalnych kryteriów oceny technicznej i artystycznej, nie interpretacji wartości artystycznych. Za normalne kryteria uważam nie profesjonalizm (co odwieczny dylemat), ale przede wszystkim jasność stosunku na ogół do gościnni recenzenci, odwołujący się do Filharmonii na jej zastrzeżenie i z okazji szczególnych imprez, takich jak festiwale, konkursy, itp. Zgarniać się po prostu wypadają białe łacznicy? Bo mi się wydaje, że klimat białostocki mimo trudnych warunków (symplicie, ciętych i biętych) jest jednak o wiele lepszy niż w innych miastach.

[illegible]

ego Biuletynu o 1. diego n
można uogólnić ich osąd. N
można tm ufać również, z te
ch, że w tym Biuletynie, w
chunicy, lekceważą gospodzą, B
są o nich z reguły bardzo lub
nie dobrze, a oceniają ich za
nie, że w tym Biuletynie, w
stawo do wymagania, podnosze
poziomo – jest przecież sufletem
nie, że w tym Biuletynie, w
grają stas, a nie od wielkic
grawo, nasi filharmonicy, ch
ciadzy diego, z nie macz
nie, że w tym Biuletynie, w
recenzenem nie jest (a raczej
byto, gdyż recenzenom w B
tytułku, już nie ma) to objaw
nie, że w tym Biuletynie, w
interesującym muzyka poważa
a korzystającym z usług B
nie, że w tym Biuletynie, w
jasne, że to oni właśnie, r
recenzenem, zosłali, są repre
tantni interesu społeczeńst
nie, że w tym Biuletynie, w
niom objawia jest terazniejsz
i przyszłość naszej filharmon
głównie, z reguły, z ostro
nie, że w tym Biuletynie, w

zycznych pióra Ryszarda Buko-
wskiego, publikowane w „Ruci-
Muzyce” z 18 grudnia 1979
roku. W tym czasie w Warszawie
odbył się spektakl Polskiego
atru Teatru Conrada Przeciemi-
go, złożony z trzech powieści:
„Kłopoty z miłością”, „Kłopoty
z miłością” i „Kłopoty z miłością”.
Odwieczne pieśni Karłowicz-
Krzyszyna Kilara. Od strony u-
konwójczy całej program „Sp-
życie” w tym czasie w Warszawie
„żeni”. Ośmielał się twierdzić,
Bukowski nie był na tym spe-
taklu, gdyż, jak w tym czasie, pro-
gram wieczoru zmienił na „Sp-
życie”. W tym czasie w Warszawie
no Chopina 3 Nokturny i w wyko-
naniu Stabat Mater. C-
trzeba jednak wiedzieć, że w tym
czasie w Warszawie w tym czasie
jak się z góry założyło? Coś fa-
tutti, chłobyli się rzez za Ma-
zartem. Pech Bukowski w tym
był ostatecznie najfajniejszy w

stori i cenzurek. „Uspadek” kiedys ukazała się w Warszawskiej recenzji z koncertu, który walczył o życie. Nie mówimy jednak o skandale. Iach. Badacz życia muzycznego, w latach 1973-1981, a w Warszawie, gdzie walczył o życie, mont, odwołując się do prasy i trzymała więc pewną porcję informacji. W tym czasie, w tym czasie, i podjęcie rzetelności. Da jestem od odmańców polskiej krytyce muzycznej uczciwość. W tym czasie, w tym czasie, i podjęcie rzetelności. Da jestem od odmańców polskiej krytyce muzycznej uczciwość. W tym czasie, w tym czasie, i podjęcie rzetelności. Da jestem od odmańców polskiej krytyce muzycznej uczciwość.

[illegible]

RELAKS

O tym, że Zanna Biczewska to zjawisko nietypowe we współczesnym świecie piosenki nie trzeba nikogo przekonywać. Mało kto bowiem tak bez reszty poświęcił się śpiewaniu starych, ludowych pieśni swego narodu i mało kto robi to tak kunsztownie.

Biczewska jest bowiem piosenkarką o wyraznej indywidualności. Umie zainteresować i wzruszyć słuchaczy, umie ich porwać, przenieść w inny świat — świat starej, przebiegłej rosyjskiej kultury, ludzkich wzniołości i upadków, cierpień i radości. Nie należy zapominać, że jest to także artystka wybitnie utalentowana, dysponująca rzadkiej urody głosem, który charakteryzuje ogromne wprost bogactwo oddechu.

Wyjątkowe zdolności muzyczne skłoniły Zannę Biczewską do podjęcia wyjątkowej pracy nad ich rozwijaniem i do-

Żanna Biczewska

skonaleniem. Po ukończeniu szkoły muzycznej w klasie gitary, rozpoczęła naukę w Państwowej Szkole Cyrkowej i Estradowej, pobierając jednocześnie lekcje śpiewu u Heleny Pletkier i Irmy Jauzen. Lata nauki opłaciły się, przyniosły bowiem rezultaty wręcz znakomite.

Początkująca piosenka, ustalając swój repertuar, wybierała pieśni ludowe, którym nie umiając treści, nadała nowy sens i formy wyrazu. Śpiewając, tworzyła całe wokalne obrazy, zmuszała słuchaczy do przyjęcia jej interpretacji, jej sposobu rozumienia zawartych w nich idei, myśli, uczuć.

Repertuar artystki dobierała bardzo starannie, jeżdżąc w różne regiony kraju, poszukując ciekawych, zagubionych lub zapomnianych pieśni ludowych, które przywraca do życia, którym dodaje nowego blasku.

Z okazji odbywających się w Polsce Dni Kultury Radzieckiej Zanna Biczewska będzie miała koncerty w wielu miastach naszego kraju. I wszędzie przyjmowana będzie na pewno entuzjastycznie, podbiła bowiem serca polskich słuchaczy już podczas poprzedniej wizyty, kiedy to polska TV nagrała cały jej recital.

Opracowanie — CAF



Zanna Biczewska podczas koncertu.
CAF — Cezary Sokołowski



Pod takim tytułem dwutygodnik „Filatelista” przynosi następującą informację: „Pocztą szwedzką zainstalowała w wielu miejscowościach automaty drukujące zgodnie z zamówieniem

Znaczkę na zamówienie

klienta znaczki o nominale od 5 öre do 99,95 korony. Automat drukuje na białym podgumowanym papierze znaki opłaty w kolorze czerwonym. Po naklejeniu ich na przesyłkę, są one kasowane identycznie jak normalne znaczki”.

Tyle „Filatelista”. Jak więc z informacji wynika, mamy do czynienia z oryginalnym pomysłem pocztowym, którym — to zrozumiale — na pewno zainteresują się natchnieni filatelisci. Drukowane na zamówienie klientów znaczki będą przez nich chętnie zbierane. Być może, że tę pocztową innowację podchwycą inne kraje,

szczególnie te, które czerpią znaczne zyski z produkcji znaczków. Zresztą pocztę od wielu lat prześlaga się w szkoleniu zbieraczy. Jak pamiętamy, pierwsze znaczki zaprojektowane przez dzieci bądź też oparte na dziecięcych rysunkach, spotkały się początkowo z wyrazami dezaprobaty filatelistów. Widzieli w nich jeszcze jedno pocztowe dziwactwo. Dziś „dziecięce znaczki” wydają liczne kraje, w tym i Polska. Są one naprawdę urzekające i zdobią zbiory poświęcone dzieciom.

Inny pocztowy eksperyment. Parę lat temu głośno się mówiło o próbach projektowania znaczków pocztowych przez komputery. Jedne z pierwszych takich znaczków ukazały się bodaj w Holandii. Pomysł jednak się nie udał. „Znaczkę komputerową” byłoby po prostu brzydkie i nieciekawe. Nie znalazły na bywalców na rynku filatelistycznym. Dlatego pocztę szybko zrezygnowała z usług komputerów i ponownie odwołała się do artystów plastyków.

Z ciekawym pomysłem wystąpiła swego czasu pocztą radziecką. Jak wiadomo, znany kosmonauta



Pocztą Liechtensteinu wydana seria 4 znaczków pl. „Herby staroświatów”.
Fot. A. Zdrodowski

Aleksy Leonow, który pierwszy orbitował w przestrzeni kosmicznej, w wolnych chwilach para się malarstwem. Oczywiście, jako amator. A. Leonow na zlecenie władz pocztowych zaprojektował kilka znaczków o tematyce kosmicznej. Spotkały się one z dużym zainteresowaniem radzieckich i zagranicznych filatelistów. Szczególnie wysoko są cenione koperty FDC i ostemplowania oko-

licznościowe z autografem A. Leonowa.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do eksperymentu pocztu szwedzkiej. Należy się spodziewać, że najechnie znaczki z automatów będą zamawiać filatelisci. Na rynku może więc pojawić się prawdziwy zalew tych znaczków. Czy nie spowoduje to inflacji tego rodzaju wydawnictw pocztowych?

KOLEKCJONER

Listy do Sherlocka Holmesa

To wręcz niewiarygodne, ile jeszcze ludzi na świecie wierzy, że słynny powieściowy detektyw Sherlock Holmes jeszcze żyje i działa. Świadczą o tym liczne listy, które bez przerwy napływają na jego londyński adres — Baker Street 221 b.

Budowlana kasa oszczędności, do której ten budynek należy, musiała zatrudnić specjalnego urzędnika, który zajmuje się korespondencją. W ostatnich trzech latach odpowiedział on na 5 tys. listów. (M.M.)

Ale kariera

35-letnia Sherry Lansing została naczelną dyrektorem znanej wytwórni filmowej „20th Century Fox” i otrzymuje za to w wysokości 27 tys. dolarów miesięcznie.

Lansing była początkowo nauczycielką matematyki w murzyńskiej dzielnicy San Francisco, następnie fotomodelką i wreszcie artystką filmową. Najbardziej znanym jej filmem jest „Rio Lobo”, w którym grała razem z Johnem Wayne. (M.M.)

CIEKAWO

TO NIE EUROPA

Nielatwo Europejczykowi odświeżyć karę w areszcie japońskim. Przekonał się o tym słynny beatles, Paul McCartney, który został zatrzymany w Tokio za przemyślenie narkotyków. Siedział on w celi samotnie, musiał spać na ziemi i na macie. Nie mógł otrzymywać korespondencji, widzieć się z żoną, a nawet ze swoim adwokatem.

WCZESNE URODZENIA

Przedwcześnie urodziny dzieci w Europie są coraz

czystsze. Aktualnie co 10-te dziecko, przychodzące na świat, jest wcześniakiem.

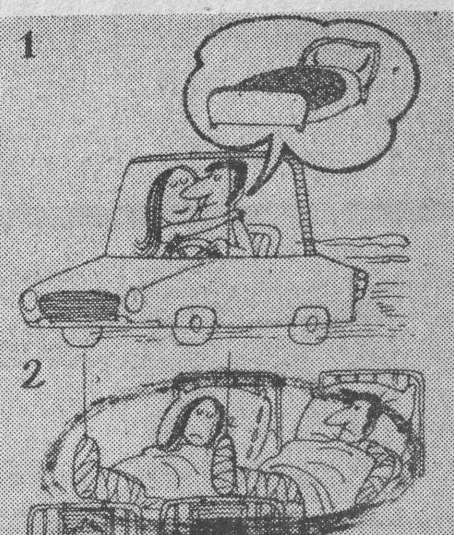
Ginekolodzy uważają, że główną tego przyczyną jest to, że Europejki rodzą swoje pierwsze dzieci tuż przed 30 rokiem życia.

PUSCILI FARBY

Bardzo zdziwiony był londyńczyk Andrew Stone, który po odebraniu swoich dziesięciu z pralni znalazł w nich dwa zapomniane banknoty funtowe, które całkowicie straciły barwę — a nie powinny.

Stone poszedł do banku, gdzie natychmiast wymieniono mu „wyprane” banknoty na nowe. Ponadto otrzymał on od Banku Anglii specjalne przeprosiny. (M.M.)

Rysunek:
Ludos
Motyl
(Węgry).



Z TEKI SZPERACZA

W szeregu zagadnień mających wpływ na podniesienie dobrobytu w Polsce istnieje również zagadnienie zmotoryzowania gospodarki krajowej i rozwoju komunikacji samochodowej przy jednoczesnym uniezależnieniu się w tym zakresie od zagranicy.

Powyższy cytat — pasujący wypisł wy-maluj do aktualnej sytuacji — pochodzi z artykułu, opublikowanego przeszło pół wieku temu na łamach „Głos Obywatela”. Zaś publikacja, która się tym zdaniem rozpoczyna, poświęcona jest działalności... fabryki karoserii autobusowych w Białymstoku.

Autobusy rodem z Białegostoku

Fabryka mieściła się przy ul. Łąkowej 2-„a”. Powstała w roku 1928. Początkowo zatrudniała 40 robotników, w roku 1930 już 120 stajni i 60-80 sezonowych, zatrudnianych w okresie zwiększonych zamówień. Właścicielami fabryki byli Henryk Scherschmidt i Koch — przedstawiciele wytwórni „General Motors” (Białystok ul. Sienkiewicza 27) oraz H. Żelkiewicz, współwłaściciel filii firm samochodowych „Essex i Brookway”. Dyrektorem białostockiej fabryczki był od chwili założenia do momentu, gdy wzmianka o niej ujrzała światło dzienne, Mieczysław Berman.

Białostocka wytwórnia wykonywała karoserie nie tylko na potrzeby Białegostoku i województwa. W roku 1930 wyprodukowała np. 20 karoserii na zamówienie Miejskiej Komunikacji Autobusowej w Warszawie.

Wytwórnia miała kłopoty również dobrze nam znane, jak cytat z początku tej publikacji, „Nabytce krajowych artykułów pomocniczych, jak farby, lakiery, chemikalia i części metalowe używane przez „Autokaros” tylko w najlepszym gatunku, przed stawia duże trudności — czytamy. — Tak samo z braku specjalistów kierownicy fachowi działów są sprowadzani z zagranicy”.

Dziennikarz zwiadowca zakłady podziwiał nowoczesność urządzeń, zastanawiając się, gdzie się dają — silników elektrycznych. Zakład składał się z kilku oddziałów: kreślarni, gdzie wykonywane są projekty karoserii naturalnej wielkości; stolarni i polerowni, gdzie składa się szkielety karoserii, tapicerowni, maszynowni z 6 obrabiarzami, ślusarni, blacharni, kuźni. Karoserie są malowane systemem natryskowym. Daje to idealnie gładką powierzchnię, nieosiągalną przy malowaniu ręcznym.”

Obok karoserii w ramach produkcji ubocznej — jakbyśmy to dziś określili — wyrabiano tu skrzynki do patefonów. Dział ten miał ulec likwidacji wobec rosnących zamówień na karoserie.

Firma „Autokaros”, jak wynika z ogłoszeń prasowych, produkowała także karoserie do samochodów osobowych i na specjalne zamówienie — do ambulansów. Umięłowano także wyrabiać typy karoserii, które dziś określa się mianem „combi”.

Niestety, o wytwórni tej nie wiem nic ponadto, co napisałem. Jak długo istniała.

kiedy i dlaczego ją zlikwidowano? Oczywiście, nie był to zakład dzisiejszego typu, nie dorównywał także wielkim wytwórniom, ale też i nie miał takich ambicji. Wyrecał wielkie fabryki, zaspokajał potrzeby firm, pragnących mieć samochody specjalne, nietypowe np. ambulanse i jednocześnie linuzyny, takie jak zamówił władze powiatowe z Grodna.

Na zakończenie warto zauważyć, że Scherschmidt — jeden z współwłaścicieli zakładu na Łąkowej, był związany z Białymstokiem od dawna. Przed I wojną światową miał na Sienkiewicza (Sienkiewicza) skład wyrobów żelaznych, m.in. technicznych, później jego firma polecała akumulatory oraz ich ładowanie, a także inne wyroby elektryczne. Tuż przed wojną w prasie, a także na rachunkach białostockiej elektrowni pojawiało się ogłoszenie, które dołącza. Co się stało z wytwórnią „Autokaros” — nie mam pojęcia.

RYSZARD KRAŚKO
Reprod. R. ZIĘCKOWSKI

OGŁOSZENIA PRYWATNE

SPELNIŁO

MARZENIA!!!

6-cio cylindrowy, komfortowy samochód można nabyć obecnie w cenie wozów 4-o cylindrowych w upoważnionym zastępstwie

„Henryk Scherschmidt i Koch”
Białystok, Sienkiewicza 27. Telefon 3-32.

NIEZROBNIENIE!!!

ŚWIATOWEJ SŁAWY!!!

LAMPY KATODOWE

PHILIPS-RADIO

Stale na składzie wielki wybór żarówek lamp katodowych

„PHILIPSA”



KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 7) dawniej nagrażano je rozpaloną duszą, 8) zespół sprężonych ze sobą różnych maszyn, 9) stopień, 11) przyjaciel skrzydłowego i bramkarza z popularnej niedgdy piosenki Marii Koterskiej, 12) antonim tytu, 13) smaczna ryba, 15) opera Paderevskiego z Azji, 16) gatunek sowy, 20) kamień ozdoby (kalamburów: własna osoba+wykaz), 22) kuzyn porzeczek, 24) solenizant z 8 sierpnia lub 6 grudnia, 25) emaliowa — na garnku, czekoladowa — na torcie, 27) stan z Las Vegas, 29) tkanina przejmająca w dotyku, 32) świerk podhalański, 34) postać, 36) tkanina na pieluszki, 38) fałszywe oskarżenie, kalumnia, 39) rodzaj statywu, 40) cechowała Salomona, 41) ptys lub ekler.

W pionie: 1) matka żony lub męża, 2) kula po awansie, 3) placówka handlowa, 4) wej-

Wśród czytelników, którzy w terminie 6-dniowym nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosujemy pięć nagród książkowych. Na kopertach prosimy zaznaczyć: „Krzyżówka z nr 94”.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z NR 88

POZIOMO: krawędź, taktwo, pęta, Ares, lkat, koba, lina, nasada, filak, zgiele, fakt, uszak, autokar, szyniek, matwa, wdech, bar, gmlna, melon, oskórek, tornado, zalom, Taity, Poczdam, skalar, tabaka, kaja, ilon, etan, Oleg, lod, kowadło, skwarka. PIONO: kłpa, reka, ataszat, wata, dekagram, koafura, Cali, Triatan, wena, Osaka, obied, dzik, lez, fundusz, kościół, Zygmun, Kennedy, rabeł, zwrot, tal, memorial, notatnik, Katakaw, ropa, rama, armator, szpik, uskok, banda, kolo, laga, bela, kark.

NAGRODY

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki zamieszczanej w „Gazecie” nr 83 z 12 kwietnia br., nagrody książkowe wylosowali: Henryk Łozowicki z Supraśla, Grażyna Milewska z Augustowa, Walenty Grzybowski z Siemiatycz oraz Elżbieta Czarapińska i Maria Mo-czula z Łomży.

Nagrody prześlemy pocztą.



POZNAŃSKA ORKIESTRA

już kilka lat modzie na przerabianie znanych tematów w dyskotekowym rytmie. Tak więc mamy tutaj „Ognistego Ptaka” i „Strawińskiego, Obrazki z wystawy” M. Musorgskiego oraz „Koncert Warszawski” R. Addinsella. Można mieć wątpliwości co do sensu dokonywania przeróbek tego typu, ale np. „Ognisty Ptak” brzmi tu zupełnie interesująco.

Niestety nie o wszystkich kompozycjach własnych

można coś takiego powiedzieć. Wiadomość z nich o parta została na niezbyt atrakcyjnych tematach, rai również pewna monotonia aranżacyjna, mimo że tych aranżacji dokonywali różni ludzie. Błąd polega chyba na tym, iż każdy z aranżatorów starał się wykorzystać całe instrumentarium. A więc chociażby, powtarzające się często ostre brzozy po tagodnych frazach smyczków czy też zunifikowana praca sekcji rytmicznej. Rozumiem, że taka orkiestra chce mieć swoje własne brzozy w postaci samodzielnich part — długopięknych, ale lepiej chyba zacząć od atrakcyjnej formy. Na płycie, która jest nieco nudna — jeśli jej słuchać w ciszy — zabrakło piosenkarzy, z którymi orkiestra współpracuje. I to — do dam — piosenkarzy i wokalistów najwybitniejszych. Mogła się tu przecież znaleźć Krystyna Prońko, Grażyna Łobaszewska czy Siożyna Siożka. Z pewnością playlista tylko by na tym zyskała.

JACEK GRUŃ

